Nr. 170. Lwów — Piątek dnia 25 lipca. Rok 1890.

Wychodzi codziennie z wyjątkiem dni poświątecznych.

Cena prenumeraty:

We Lwowie bez dostawy		Na prowincji z przesyłką pocztową	
Miesięcznie	zł. 75 ct.	Miesięcznie	1·10 zł.
Kwartalnie	2 „ 25 „	Dwumiesięcznie	2·10 „
Półrocznie	4 „ 50 „	Kwartalnie	3·— „
Rocznie	9 „ — „	Rocznie	12·— „

Na dostawę do domu miesięcznie 25 ct.

Numer kosztuje 4 centy

Prenumeratę z dostawą do domu we Lwowie należy składać w Biurze Dzienników, ul. Karola Ludwika Nr. 9.

Prenumerata tak miejscowa jak i zamiejscowa winna się kończyć z końcem miesiąca, kwartału, półrocza lub roku. Inaczej się nie przyjmuje.

PRZEGLĄD
polityczny, społeczny i literacki.

Z zamiejscową prenumeratą zgłaszać się należy do Administracji „PRZEGLĄDU" we Lwowie, przy ul. Sykstuskiej l. 45. Zmiana zamiejscowej prenumeraty na miejscową i odwrotnie jest niedopuszczalna.

Upraszа się prenumeratę przysyłać przekazami pocztowemi, a nie w kopertach. Osoby przysyłające pieniądze w kopertach racz dopłacać po 5 ct. do każdego listu.

Miejscową prenumeratę we Lwowie przyjmują: Trafika J. Ważnego, ulica Czarnieckiego 2; „ przy ulicy Karola Ludwika liczba 5; „ „ Jagiellońskiej liczba 4; „ „ Słowackiego (obok łazienek Diany); Biuro Dzienników, ul. Karola Ludwika liczba 9.

Rękopisów Redakcja nie zwraca.

Dziś: św. Jakóba Ap. Jutro: św. Anny Matki N. P. M. | Adres Redakcji i Administracji: ulica Sykstuska l. 45. | Naczelny Redaktor i Wydawca: Ludwik Masłowski. | Wschód słońca g. 4 m. 32, Zachód „ „ 7 „ 36 | Długość dnia 15 g. 4 m. Ubyło dnia 2 min.

Przegląd polityczny.

Lwów 24 lipca.

Bismark znów się odezwał. W kilka dni po Ritterhausie, redaktorze dziennika *Frankfurter Journal*, przyjął Bismark dr. Reicharda, redaktora pisma *Dresdener Nachrichten* i znów długo gawędził z nim o polityce. Dr. Reichard w dzienniku swoim tak opisuje swą pogawędkę z Bismarkiem:

„Ogłoszona przez p. Ritterhausa w *Frankfurter Journal* rozmowa ks. Bismarka skłoniła mnie do tego, że wysłałem telegraficzne zapytanie do Friedrichsruhe, czy książę nie byłby skłonnym przyjąć także mnie jako reprezentanta *Dresdener Nachrichten*. Za kilka dni otrzymałem przychylną odpowiedź i we czwartek 17 lipca, o godzinie ½ do 11 przed południem, zadzwoniłem do bramy pałacu we Friedrichsruhe. Przed bramą stał policjant, który moją kartę odniósł do pałacu. Podczas mego oczekiwania wyszedł sekretarz księcia. Po chwili wrócił i oznajmił mi, że książę w tej chwili przyjąć mnie nie może, lecz prosi, abym zaczekał w pobliskiej restauracji, a on przyśle tam po mnie służącego.

„Po upływie pół godziny zjawił się służący księcia i zaprowadził mnie do pałacu. W salonie poczekalnym przywitał mnie nader uprzejmie sekretarz księcia i poszedł zameldować mnie jemu. Wyjrzałem przez okno i zobaczyłem go rozmawiającego z księciem w parku. Książę miał na sobie długi szary surdut i takież spodnie, na głowie kapelusz filcowy, na nosie okulary w stalowej oprawie, a w ręku silną laskę z żelaznym końcem. Za chwilę wszedł książę do pokoju, powitał mnie badawczo i rzekł: — „Ach! pan we fraku. Teraz jest godzina, w której ja zwykle się przechadzam. Może pan zechcesz mi towarzyszyć, będziemy rozmawiali przechadzając się". Wyszliśmy do parku. Podczas przechadzki towarzyszyły nam dwa wielkie psy księcia: Tyras i drugi pies gończy, którego nazwiska nie wiem. Książę zwracał moją uwagę na piękne okolice w parku, czasem rozmawiał kilka słów z przechodniami, a raz przerwał rozmowę ze mną i dał laską Tyrasa, który pokąsał małego pieska jakiejś pani.

„Rozmowę naszę rozpocząłem od dziennikarstwa. Ja powiedziałem, że całą prasę niemiecką boli to, że ks. Bismark zrobił jej zarzut tchórzostwa, a tylko prasie socjalno-demokratycznej przypisuje odwagę. Na to odrzekł mi książę, że pan Ritterhaus nie zrozumiał go. Szło tu nie o całą prasę niemiecką, tylko o dzienniki, które przedtem były z nim w ścisłych stosunkach, jak n. p. *Post*, *Köln. Ztg.*, przedewszystkiem zaś *Nordd. Allg. Ztg.*, którą on przedtem prawie całkiem utrzymywał. Ten dziennik nawet nigdy nazwiska jego nie wymienia z obawy, aby mu tego za złe nie wzięto.

„To tylko chciałem powiedzieć, a nie co innego. Dziennikarze przypuszczają, że stosunek między mną a cesarzem jest naprężony, a co gorsza, podejrzywają mnie o to, że chciałbym napowrót dostać się na dawne stanowisko. Za stary jestem na to i mam poczucie własnej godności. Jedno mam tylko życzenie, a mianowicie to, aby potomność fałszywie mnie nie sądziła i dla tego nie mogę milczeć, jeżeli moją działalność zaczepiają. Między cesarzem a mną nie ma żadnej nieprzyjaźni. W jednej tylko kwestji byliśmy różnego zdania, to jest w kwestji socjalnej, a ta kwestja jest tak ważna, że ustąpić nie mogłem. Jestem dobrym rojalistą, i gorącym zwolennikiem domu Hohenzollernów, ale mimo to mogę być innego zdania, aniżeli Najj. Pan".

O odwadze prasy socjalno-demokratycznej powiedział Bismark:

„Socjalna demokracja nie jest jeszcze zdemaskowana. Od obecnego systemu rządowego nie spodziewa się ona nic, a więc pisze co jej się podoba, podczas gdy prasa innych stronnictw wciąż żywi nadzieję, że jej stronnictwo do rządu przyjdzie, nadzieję tę żywi nawet stronnictwo postępowe".

„Gdyśmy wyszli na pagórek i usiedli na urewnianej ławce, spytałem: — „Pan Ritterhaus rzekł w swoim opisie, że książę chciałeś proponować zaostrzenie ustawy antisocjalistycznej, a mimo to w projekcie rządowym nie było tego zaostrzenia?" Bismark odrzekł mi na to: „Socjalizm jest dla Niemiec największem niebezpieczeństwem. Niebezpieczeństwo z tej strony uważam za daleko większe od tego, które Niemcom grozić może ze strony Francji albo skąd indziej. Socjalna demokracja wciąż rośnie. Zawsze zwracali się ludzie ambitni, dążący do władzy, do niezadowolonych i tworzyli sobie w nich stronnictwo, a niezadowoleni będą dopóty, dopóki jeden będzie widział, że drugiemu się lepiej powodzi. Do zażegnania niebezpieczeństwa socjalistycznego są tylko dwie drogi: albo zaspokojenie żądań socjalistów, albo walka. Pierwsza droga jest po prostu niemożliwa, natomiast druga trzyma ich w pewnych granicach. Każdą koncesję dla socjalistów uważam za black-mail, to jest taki haracz, jaki płacili Szkotowie swoim rozbójnikom, aby ich oszczędzali w swych wyprawach łupieskich. Cesarz ma lepsze serce odemnie, nie ma on jeszcze doświadczenia starca siedmdziesięcioletniego, zdecydował się więc na pokój, ja chciałem walczyć, a to im przyjdzie tem lepiej. Ta różnica zdań naszych była jedynym powodem, dla którego ustąpiłem.

„Od ustawodawstwa dla obrony robotników — rzekł książę — nic a nic nie spodziewam się. Nie uwierzę w to ustawodawstwo dopóty, dopóki mi ktoś nie powie, czem wynagrodzi się robotnikowi ubytek w zarobku, spowodowany zmniejszeniem godzin pracy. Przeciwny jestem wszelkim zakazom robót w niedzielę, bo ograniczają wolność osobistą robotnika, jak np. uregulowanie pracy kobiet i dzieci, które wkracza w prawa robotnika, jego głowy rodziny.

„Chciałem obostrzyć ustawę antisocjalistyczną i zaproponowałem bardziej, lecz na radzie ministrów nie utrzymał się mój plan. Co gorsza, rząd już w komisji zgodził się na projekt narodowych liberałów, aby z ustawy wyjąć paragraf o wydalaniu. Jestem z zasady przeciwnikiem wszelkich koncesji w komisjach; mojem zdaniem koncesje czynić może rząd dopiero w plenum parlamentu".

„Na zapytanie moje, co może się stać, gdy socjaliści jeszcze śmielsi będą, odpowiedział książę: „Ostatecznie jest kwestja socjalistyczna, mojem zdaniem, kwestją wojskową. Jeżeli wrzód ten zanadto nabierze, można będzie wybryki socjalistyczne poskromić siłą wojskową. Wówczas miejsce dzisiejszego małego stanu oblężenia zajmie powszechny stan wojenny. Oczywiście długo to nie potrwa".

„Na zapytanie moje, co myśli o urzeczywistnieniu myśli Scharnhorsta, t. j. o powszechnem uzbrojeniu narodu, odpowiedział mi książę wymijająco, dodając: "Nie mam prawa wchodzić w szczegóły".

W ten sposób sprostował Bismark swą rozmowę z Ritterhausem, która tyle wrzawy narobiła.

Patrjarcha greckiego kościoła prawosławnego, rezydujący w Konstantynopolu i zwany patrjarchą ekumenicznym, nie kontent z mianowania trzech biskupów bułgarskich w Ueskib, Köprili i Ochrida, wniósł do Porty przedstawienie, w którem prosi, aby sułtan nakazał tym biskupom nosić ubranie odmienne od biskupów greckich i aby w dekrecie nominacyjnym tych biskupów określono wyraźnie kościół bułgarski jako kościół schyzmatycki. Oczywiście, że sułtan nie uwzględnił tego przedstawienia tak samo jak nie uwzględnił protestu, wniesionego przez tego samego patrjarchę przeciw mianowaniu tych trzech biskupów.

Korespondencje.

Paryż 18 lipca.

Święto narodowe francuzkie dnia 14 lipca odbyło się w przepisanym porządku. Był przegląd wojsk w obecności prezydenta Rzeczypospolitej; była defilada uczniów, udających żołnierzy; była procesja do posągu Strasburga, mająca oznaczać nieprzedawnione prawa Francji do tego miasta; były powywieszane chorągwie trójkolorowe na domach prywatnych i gmachach publicznych; był nawet udany zamach jakiegoś półgłówka czy warjata dla zwrócenia na siebie uwagi; była wszelka radość i dramatyczność urzędowa i orgie pospólstwa, brakło tylko szczerej radości poważniejszych mieszkańców. Rok przebyty od 14 lipca 1889 mało zapisał aktywów w wielkiej księdze Rzeczypospolitej.

Była jedna wielka i świetna wygrana: pokonanie bulanżyzmu; ale i ta niewiele przyniosła dla sprawy stosunków wewnętrznych Rzeczypospolitej. Groźne zwycięztwa Boulanger'a w styczniu 1889 roku zdawały się być przestrogą, i rzeczywiście przez czas jakiś nawoływanie do zgody skutkowało — w słowach, nie w czynach. Radykalizm był ukrył pazury i udawał baranka na wyborach wrześniowych. Monarchiści po klęsce wyborczej, szczerze czy nieszczerze, wyciągali także rękę zgody do Rzeczypospolitej. Już zanosiło się na utworzenie wielkiego umiarkowanego stronnictwa środka, już marzono o złotej erze, w której zamilkną wewnętrzne spory, ustaną swary religijne — kiedy z upadkiem bulanżyzmu radykalizm nanowo podniósł głowę i powrócił dawny rozgardjasz w tłumach krótkowidzących i niesmak u ludzi, którzy nadewszystko kochają Francję i wysoko sobie cenią jej honor.

To też cudzoziemiec, przypatrując się z ubocza narodowemu świętu Francji, odchodzi z placu tych wielkich igrzysk i widowisk, oszołomiony i oślepiony ich blaskiem, ale ani o jeden stopień cieplej nie rozgrzał on krwi w żyłach, nie upoił się zapałem, którego nie widział.

Uroczystość lipcową poprzedził — jak corocznie, olbrzymi koncert ludowy, którego słucha i oklaskuje kilkadziesiąt tysięcy gawiedzi, a na estradzie występuje kilkuset muzykantów i 2.000 śpiewaków.

Tego roku odbył się ów koncert w Hali maszyn na polu Marsowem.

Aby usłyszeć ten wirwar śpiewu i muzyki, już na 5 godzin przed terminem rozpoczęcia stanąłem przed „Porte Rapp" i sądziłem, że będę jednym z najpierwszych.

Niestety, plac przed wejściem do przeszłorocznej wystawy czerniał się już od mrowia tłoczącej się publiczności, a na galerjach było pełno i gwarno.

Ha cóż robić? Trzeba iść przebojem i oto siłą woli i — *lachons le mot* — pięści, zdobywam wejście a następnie na górnej galerji wcale dobre stanowisko.

Oparłszy się solidnie o balustradę, spoglądam na dół...

Hala! ta Hala wspaniała, wrząca rok temu życiem, szumem tysiąca maszyn, dziś milczy, spowita cała w szare światło dżdżystego dnia, które płynie chłodnemi potokami, filtrowane przez płaty szkła, stanowiącego dach Hali.

Na dole, na gładko żółtym piaskiem usypanej przestrzeni, tysiące ludzi snujących się z nadzwyczajną szybkością. Ciemny ten tłum, poprzecinany szafirowemi bluzami robotników tłoczył się przeważnie dokoła ołtarza, ustawionego na środku Hali, w obramowaniu całej masy krzewów i liści. Ołtarz ten ma być wiernie naśladowanym z pierwowzoru, przy którym sto lat temu król i królowa w białych perukach i aksamitach zamieniali radośne przyrzeczenia z tłumem.

Dziś, zamiast wspaniałego dworu, złocącego się od haftów i powiewającego wstęgami, czernią się oficjalne fraki deputacji i ciemny szafir bluz...

Daleko od wejścia, z drzwi szeroko otwartych płynie tryumfalnie potok jasnego światła, w którem migają frygijskie czapki dzieci, przebranych za „*Republiki*" i kaski gwardzistów konnych; pomiędzy filarami Hali wiją się, jak węże czarne, całe gromady „panów municypalnych", którzy bezsilnie spoglądają na uliczników łażących po łukach Halli i intonujących „*Josephine, elle est malade!*" z tej zawrotnej wysokości...

Z każdą minutą ciżba i gwar się wzmaga.

Bije czwarta, pół do piątej, piąta!

Zaczynamy się niecierpliwić, najweselsi nawet przestają żartować, znużenie ogarnia wszystkich.

Sześć godzin stać w tłoku i gorącu, tego zawiele każdemu!

Wreszcie migoce coś u wejścia.

To gwardja nadchodzi pierwsza, prowadząc za sobą część robotników, którzy brali udział w budowie wieży Eiffel, z samym p. Eiffel na czele.

Dalej, 40-tu trębaczy, głośne a ostre wyrzucających nuty i mających po za sobą właściwy orszak, czarny, zbity w masę, najeżony setkami różnokolorowych, powiewających chorągwi.

Są to stowarzyszenia orfeonistów, gimnastyków i strzelców. Wyliczyć ich niepodobna. Idą, idą, defilując przed ołtarzem, z którego biała twarz republiki surowo na nie spogląda. Chorągwie powiewają, rozrzucając purpurę, błękit, biel na różne strony. W szarem świetle dnia migają złociste blaski emblematów wyszytych na aksamicie, lub tłoczonych na jedwabiu. Pomiędzy temi przepychami czernią się szmaty chorągwi, sto lat temu służących przy uroczystości federacyjnej. Tłum wita je dzikim okrzykiem. Szmaty usuwają się w bok, czyniąc miejsce nowym, błyszczącym sztandarom.

Wreszcie p. Colonne zajmuje miejsce na estradzie i, za podniesieniem batuty, z 2,000 piersi wydziera się pierwsza nuta massenetowskiej kantaty. Z początku panuje jakiś chaos, krzyk i bezład straszny... To efekt szklannego sklepienia hali. Powoli wszakże śpiew wzbijając się w górę spływa wyraźniej, spokojniej, wspanialej...

Tłum wpada w szał. Trzydzieści tysięcy osób domaga się powtórzenia kantaty. Colonne daje znak, lecz teraz już nietylko wykonawcy śpiewają, lecz i widzowie. Każdy Francuz, zdenerwowany, podniecony śpiewa:

O France! O mon pays!

Gdy nazajutrz o szóstej z rana spieszyłem na plac przed Hotel de Ville dla ujrzenia defilady bataljonów szkolnych, przed gmachem Opery zastałem już tłumy gawiedzi koczującej na chodnikach, aby jeno otrzymać bezpłatny wstęp na przedstawienie „Rigoletta".

I znów siłą i pięścią musiałem zdobywać przejście i popychając i popychany w dwie godzin później stałem na placu ratuszowym, gdzie defilują lilipucich wymiarów żołnierzyki, z karabinkami na ramionach, z czapeczkami junacko na ucho nasuniętemi.

Po przed trybuną, gdzie wśród rady municypalnej zasiadł prefekt departamentu Sekwany, płyną ich bataljony a płyną przy odgłosie trąbek i bębnów; bataljony minjaturowe, ale sprężyste, karne, wybornie ćwiczone. Tłumy witają je z entuzjazmem i śledzą oddziały, niknące w nieskończonej perspektywie ulicy Rivoli.

O godzinie dziesiątej przegląd skończony.

Malcy rozsypują się po ulicach, weseli, szczęśliwi, wyzywający. Każdy z nich niesie swój karabinek z miną zwycięzcy. Przechodnie zdejmują przed nimi kapelusze, oni kroczą, pewni siebie, pełni dumy i blagi...

Przez plac Marsowy postępuję dalej wraz z tłumem pieszych i niekończącym się szeregiem powozów, aby dotrzeć do Longchamps, gdzie o trzeciej przed prezydentem Rzeczypospolitej ma defilować garnizon paryski.

Na Polu Marsowem, wśród gruzów na poły rozebranych budynków zeszłorocznej wystawy, wre i kipi życie paryskie.

Tu gimnastycy w złocistych trykotach wieszają się na trapezach; wieża Eiffel dźwiga tysiące ciekawych; tysiące katarynek piszczy na wszystkie, możliwe nuty; bielą się namioty, sterczą baraki, a w każdym nowe dziwa nęcą ku sobie tłumy wieśniaków i paryskich łobuzów.

Mijam ten Babilon pełen wrzawy i pisku i poszturkiwany na każdym kroku, postępując obok ośmiu rzędów powozów, przybywam do Avenue du Bois de Boulogne, a stamtąd do Longchamps, gdzie już na przybranej sztandarami trybunie usiadł prezydent Carnot. Obok na lewo stanęli minister wojny Freycinet i cały sztab jeneralny, na prawo cały gabinet, a po za nimi czernią się fraki deputowanych i senatorów, błyszczą złociste uniformy jenerałów.

Pod dowództwem jenerała Deffis, który zastępuje chorego jenerała Saussier, rozpoczyna się rewja.

Zwykły program dawnych rewij paradowych ożywiono tym razem imitacją ataku.

Więc szła ku trybunom piechota w szyku bojowym, przyśpieszonym krokiem; szarżowała kawalerja; biegła wśród kłębów kurzawy lekka artylerja.

Nowość ta wprawiła w zachwyt widzów wszelkich stanów, bo Francuz lubi zabawę błyszczącą i hałaśliwą. Najobfitsze oklaski zbierał lśniący w promieniach słońca pułk kirasjerów.

Zaledwie się skończyła rewja, już gwardziści szykują tłumy, gdyż z dala słychać tentent kopyt końskich.

To powozy, które pod eskortą konnej gwardji wiozą prezydenta i jego ministrów.

Cała massa konnych gwardzistów poprzedza powóz, zaprzężony à la Daumont, w którym siedzi prezydent, mając obok siebie jenerałów Miribela, Brugéra i Freycineta, ministra wojny.

Blada twarz Carnota, kłaniającego się jak maszyna automatyczna, dziwnie odbija od purpurowej wstęgi na jego piersiach.

Publiczność wita go chłodno, kilku „kamlotów", zziajanych i spoconych, leci krzycząc: *Vive Carnot!*

Po za nimi suną Floquet, Royer, jenerał Deffis otoczony swoim sztabem, wreszcie pani Carnot w surowej, ciemnej toalecie, w dość skromnym powozie.

Kilka toalet kobiecych pięknych wyróżnia się korzystnie: jakaś Angielka, blondynka, wiotka i powabna, w blado-różowej sukni, poprzecinanej masą czarnych aksamitek; dwie suknie białe fularowe, w olbrzymie bratki liljowe i szara płócienna suknia, cała przeszyta rzędami grubej białej gipiury.

Spieczony upałem lipcowym, okryty grubą warstwą pyłu, wracam do miasta, w którem ruch panuje szalony, i dostaję się na terassę Caffé de la Paix, aby tam doczekać wieczoru.

Wreszcie słońce zapada za ocean, mroki wieczorne mkną ku ziemi — ruszam w dalszą przechadzkę.

Dążę na plac de la Concorde.

Tam wieńce białych, mlecznych kul okrążają dokoła Igłę Kleopatry, która prosta, smukła, szara, odcina się wśród bieli światła i płynie wysoko ku górze...

Po obu stronach grają fontanny, szeleszczące srebrnawemi strugami wody.

Cały plac, po którym snują się tysiące ludzi, jasny jest i widny, doskonały w swej harmonijnej czystości, obramowanej białemi linjami płonącego gazu. Tylko pochodnie wyrzucają z siebie żółty płomień, kołyszący się razem z podmuchami wiatru, i od czasu do czasu ukazują ciemną zieleń drzew Tuillerów, których bramy szeroko otwarte wyrzucają ze siebie całe fale rozbawionego i śmiejącego się tłumu.

Na prawo w górę, podnosząc się tajemniczo, płynie Avenue des Champs Elysées, znacząc się dwoma linjami świateł.

Trochę dalej, po nad czarną masą domów, ze szczytów Trocadera miga promień elektrycznego światła, srebrząc głowy tłumu.

---

31)

Aż do zgonu.

Powieść

przez

SAS-ŁADĘ.

(Ciąg dalszy.)

— Jutro zaraz do Lwowa jadę, — rzekła pani Marja, spróbuję, uczynię, co będę mogła, nie dla was, ale dla spokoju Jadwisi, bo to was do gorszego doprowadzi. Tych dwadzieścia tysięcy ostatnim ratunkiem, potem nic już nie dostaniecie. Pamiętajcie.

Westchnęła pomyślawszy: Żądać, żeby ślepy przewidział, jest to chcieć cudu i wstała z kanapy.

— Godzina późna. Zdrożoną jestem, trzeba spocząć. Dobranoc.

Pożegnały się nie bardzo czule. Obie miały żal, że się nawzajem nie zrozumiały. Pani Marja, zamiast do siebie, udała się do pokoju Jadwigi.

— Co ona biedaczka porabia? — myślała.

Sypialnia oświecona tylko dwiema świecami na toalecie w srebrnych lichtarzach, prawie była ciemną. Niebieskie draperje i obicia czerniały. Gdzie niegdzie rąbek bielizny; pościeli, błyskał wyraźniej, a w kąt kanapy wciśnięta postać tonęła tak zupełnie w cieniach, że wchodząc, pani Marja nikogo nie dostrzegła, aż się Jadwiga ruszyła i do niej podbiegła.

— Nie śpisz jeszcze? Nad czem dumałaś po ciemku? — z czułością spytała.

Młoda kobieta bliżej świec stanęła i oczy ciotki z przyjemnością zatrzymały się na niej. Z rozpuszczonemi włosami, cała w bieli, tak była ładną, że aż pani Marja zawołała:

— Czyż podobna, żeby ciebie mąż nie kochał!?

Wydało się jej bowiem, że dobra, ładna, nie mogła nie obudzić w Leonie gorętszych uczuć, i szczerym był jej wykrzyknik.

Jadwiga przytuliła się do ramienia ciotki i westchnieniem tylko odpowiedziała.

Przed chwilą jeszcze myślała nad tem, dla czego Leon jej kochać nie może, a serce w niej omdlewało, dużo łez spłynęło z oczu, choć ulgi nie przyniosły. Ciągle, nieustannie wracało męczące pytanie, na które nie było odpowiedzi. Starała się przecież pozyskać miłość męża, zasłużyć na nią. Dla czegoż jej nie kochał!?

— Droga moja, przyszłam, aby ciebie uspokoić. O sprzedaży Wierzbna nie ma już mowy. Czułam, że powinnam pospieszyć z tak dobrą nowiną.

— Mogęż wierzyć?

Dotychczas tak ufna, Jadwiga zaczynała już wątpić teraz o wszystkiem. Niewiara wkradła się do jej duszy będąc pierwszym gorzkim owocem zawodu.

— Możesz najzupełniej; mówiłam z matką, wzięła to na siebie. Znasz jej wpływ. Z Leonem potrafi zrobić co zechce.

Jadwiga ręce złożyła.

— O, dziękuję! Lżej mi będzie.

— Jadę jutro prosto do Lwowa, pieniądze przywiozę. Ojciec nadto ciebie kocha. O moje dziecko, jakżebym chciała, żebyś była szczęśliwą!..

Znów się uściskały.

— Leon powinien być tu, przy tobie i widzieć ciebie taką piękną... jak teraz. Nie poddawaj się rozpaczy. Masz wszystko po swojej stronie — nie dziś, to jutro męża zniewolisz — zaczerwieniła się. — Tyś za zimna, on ani wie, jak go kochasz! Trochę trzeba oddziaływać i na zmysły... rozumiesz? Słodszy uśmiech, gorętsza pieszczota, wiele mogą! Gdybyś tylko umiała!

IX.

Zręcin został sprzedany. Pieniądze wyliczył adwokat, o którym pan Marcin wspominał, że przybył umyślnie w celu nabycia, ale on nie zamieszkał we dworze zręcińskim. Wkrótce, gdy konieczne formalności nabycia i niezbędnie potrzebne odświeżenia rezydencji dokonane zostały, przybyła na jego miejsce prawdziwa właścicielka pani Karolina Klęcka wdowa, z małą córeczką, licznym pocztem sług i objęła w posiadanie swą nową siedzibę. Zamieszkawszy, zaczęła się tu na stałe urządzać, sprowadziła meble, konie, powozy, a najprzód, korzystając z pory roku, kazała ogród przerobić.

Był starą modą założony, z wielkimi szpalerami — w krótkim czasie odmienił się do niepoznania. Poodsłaniały się widoki — dużo drzew wycięto na rozkaz właścicielki, która utrzymywała, że najpiękniejsza część parku zyskała na tem, bo ukazał się w perspektywie dotąd zupełnie zakryty i niedostrzeżony z okien zręcińskiego dworu pałac w Malinnie. Z wiosną zasadzono mnóstwo róż, porobiono modne klomby i otoczono cały ogród niskim murem, odgraniczającym go od gościńca, ale nie przeszkadzał on dojrzeć, gdy kto gościńcem przejeżdżał. Wdowa lubiła widzieć wszystkich przesuwających się drogą, a również chciała być widzianą gdy przechadzała się, rwała kwiaty, lub z książką pod rozłożystą siadywała lipą.

Taka sama zmiana zaszła i we dworze.

Obszerne sale, gdzie dawnemi czasy państwo Feliksowie bardzo często ugaszczali sąsiadów, zamieniły się na małe saloniki i buduary, zapchane aż do ciasnoty najrozmaitszemi sprzętami. Przedtem bywało tu tak głośno, że echa się rozlegały, teraz po miękkich dywanach cicho stąpała służba, bo pani nie lubiła hałasu.

Rozpieszczona, nerwowa, bardzo bogata, w wielu rzeczach ekscentryczna i robiąca tylko to, co się jej podobało, bez oglądania się na kogokolwiek, mająca swoje osobne zachcianki, fantazje, swój odrębny sposób postępowania, pani Klęcka nietylko nowomodnem urządzeniem dworu zwróciła uwagę i oczy na siebie, ale i wielu innemi rzeczami. Tak na przykład ubierała się zawsze biało latem, a czarno w zimie; kolorów nie nosiła. Mówiono o tem różnie: jedni że przez ciężkie jakieś przeszła cierpienia, drudzy, a w tych liczbie była i Nicowska, że chciała się na gwałt wyróżniać i ściągać na siebie uwagę.

Lubiła towarzystwo, ale u siebie więcej, niż u innych, i rzadko kiedy bywała na większych zebraniach.

Urządziwszy się porobiła wszędzie wizyty — całe objechała sąsiedztwo i bliższe i dalsze, nikogo nie pominęła, tylko w Malinnie nie była. Graniczyli jednak, i po wycięciu drzew, z obu dworów doskonale widzieć się mogli.

W głowę zachodzono skąd taka niełaska? Dreptalski długo nad tem z sąsiadami radził, zapytywał Leona, ale Leon był wściekły, i pan Marcin badać go zaprzestał. Pani Brygida tylko brwi podnosiła i krótko zbywała ciekawych: „To się ją spytajcie. My nic nie wiemy."

Wiedziała jednak, a przynajmniej domyśliwała się. Jeśli panu Marcinowi nie było znanem nazwisko owej wdowy, która niegdyś zakręciła głowę Leonowi, matce, przed którą syn nie miał tajemnic, utkwiło ono doskonale w pamięci. Nigdy nie odezwała się z żalem, że wdowa ominęła Malinnę, przeciwnie, cieszyła się z tego w duszy i myślała:

— Lepiej z daleka!.. Pewnie urazę chowa, ale my na tej urazie dobrze wyjść możemy.

Co do Leonowej, tej bynajmniej nie zależało na sąsiadce. Obojętnie znosiła niegrzeczność pani Karoliny, tłumacząc niegrzeczność kaprysem, brakiem wychowania. Sympatji do niej nie miała, bo różniły się z sobą zupełnie. Jadwiga dla wdowy, a wdowa dla Leonowej dość zimne były, jakaś nawet niechęć przebijała się w pani Karolinie, choć starannie ją ukrywała, nie mogąc niczem usprawiedliwić.

Cały powiat ożywił się z przybyciem wdowy. Spraszała sąsiadów, urządzała podwieczorki, wycieczki konne, bo namiętnie jeździć konno lubiła. U jej stołu gość zawsze znajdował nakrycie, wyborne jedzenie i gościnne przyjęcie. Z razu narzekano na późną porę, o której obiad podawać kazała, ale i do tego niebawem wszyscy przywykli, gdyż nie stosowała się do nikogo, a do niej musiał każdy, i tak się jakoś zdarzyło, że ci, co najwięcej ją krytykowali, u siebie przed innymi jej sposób życia przyjęli. Gdy ktoś rachował teraz, że przyjdzie do sąsiada na kolację, zastawał obiad.

Nosowicz nie mógł wybrnąć z trudnego położenia w obec alternatywy, albo modnie jadać o siódmej, albo po staroświecku w południe. Jako marszałek poczuwał się do obowiązku we wszystkiem dawać przykład dobry powiatowi, ale gościowi zjawiającemu się na obiad wieczorem, coś więcej podać wypadało niż kluski i sztukamięso. W tem była cała niedogodność. Poradził sobie w dowcipny sposób: obiad swój nazywał śniadaniem, a wieczorem zawsze z domu wyjeżdżał. I gdy przedtem często go nie było w Korytkowcach, teraz już ciągle prawie przesiadywał w Zręcinie. Dobra kuchnia i wina wytrawne stanowiły dla niego nieprzezwyciężoną przynętę.

(C. d. n.)

Przedemną most de la Concorde, obramowany przepotężnemi świecznikami gazowemi, zda się płonąć cały i drżeć w powiewach wiatru.

W tej płonącej alei złoci się wspaniale rozjaśniony pałac Chambre de députés, mając po bokach swych świetne blaski frontonu ministerjum wojny i jedną, jedyną olbrzymią gwiazdę, zawieszoną u szczytu pałacu Legji honorowej.

Na dole, Sekwana ciemna, poprzecinana tylko purpurą latarń weneckich, bramujących dokoła statki po niej płynące.

Całe Quai de Tuilleries i Cours la Reine natłoczone ludźmi i obwieszone purpurą latarń i balonów, odbijają się w czarnej powierzchni wody. Gdzie okiem zasięgnąć, linje mostów, drgających się w przestrzeni..

Na prawo most Inwalidów, cały purpurowo złoty w wielkie, półokrągłe girlandy, za nim prosto kolumny gazowe Pont d'Alma.

Na lewo srebrne festony mostu Solferino i niknące w oddali mięszane latarnie Pont Royal.

Przez mosty, przez place przeciągają teraz tłumy ludzi pijanych szałem.

Całe gromady idą, trzymając się „gęsiego" za suknie i śpiewając na całe gardło piosenki. Wszystko skacze, cieszy się, wrzeszczy, kąpie w świetle gazu i elektryczności.

Tymczasem wieża Eiffel błyska trójkolorowym okiem, a Trocadero zapala się setkami linij i cudnych deseni, jakby czarodziejskim ołówkiem wśród czerni zarysowanych. Z mostu Jeny złocą się w górę wyrzucone rakiety, całe snopy iskier spadają na wodę, która zda się zapalać i migotać cała w tej ogniowej powodzi.

Z piersi tłumów wydziera się krzyk na widok wspaniałej kaskady, całej orgji blasków, która rozświeca na chwilę w noc spowity Paryż...

Oślepiony tymi blaskami umykam w boczne ulice, mijam na ulicy des Piramides pierwszy bal uliczny, wyprawiany w świetle chińskich baloników i wydzieram się z objęć podpitej tłuszczy, która gwałtem ciągnie mnie do kankana.

Dochodzę wreszcie do placu Opery, przed którą bal wyprawiony kosztem redakcji *Gil Blas'a* jest w pełnym rozwoju.

Omijam i tę zawadę, skręcam w Bulwar Haussmana, a ztamtąd w ulicę de la Ferme des Mathurins, i prześladowany olśniewającym blaskiem iluminacji, wrzaskiem rozochoconych tłumów, znużony na śmierć, dostaję się do mojego hotelu garnis, aby w pokoiku na czwartem piętrze zakończyć burzliwe i znojne dzieje 14 lipca.

W sprawie konwersji długu krajowego.

2) Zadania, mające na celu rozwój oświaty.

Powzięcie gruntowniejszego w tym ważnym przedmiocie zdania utrudnia przedewszystkiem metoda, wedle której coroczne budżety krajowe są dotychczas układane.

Rozróżniają one wydatki ponoszone przez kraj na szkoły ludowe i wydziałowe, od wydatków uchwalanych na szkoły: rolnicze, ogrodnicze, gorzelnicze, weterynarji, przemysłowe uzupełniające, fachowe i handlowe; nie uwydatniają zaś, ile z sumy ogólnej przez fundusz krajowy, na te cele dostarczanej, jest obracanem na koszta założenia i pierwszego urządzenia rzeczonych zakładów naukowych, ile zaś na koszta ich utrzymania.

Powyższy sposób budżetowania nie jest racjonalnym. Wszystkie wymienione zakłady są przecie szkołami istniejącemi właśnie dlatego, aby w nich wychowywała się młodzież, aby ją uczono i przygotowywano do pożytecznego spełniania obowiązków w różnych rodzajach pracy fachowej, jaka ją w dalszem życiu oczekuje. Że jedne z tych zakładów naukowych są pod zarządem i wpływem krajowej Rady szkolnej, inne znowu pod zarządem i wpływem bądź krajowej Rady przemysłowej, bądź bezpośrednio komisyj sejmowych albo właściwego departamentu Wydziału krajowego; że uchwalanie tych wydatków następuje z osobna za samoistną inicjatywą każdego z tych czynników, to jeszcze nie wytwarza podstawy do pozbawiania tych wydatków jednolitej cechy. Wszystkie bowiem mają jedyny cel: wychowanie publiczne.

Rozróżnianie znowu kosztów, idących na pierwsze urządzenie nowo w każdym roku zakładanych szkół, od kosztu ich utrzymania, ułatwiałoby powzięcie sądu, jaką sumą rzeczonych wydatków godzi się obciążać przyszłość, jaka więc cyfra musi być ciężarem obecnej doby, gdyż tylko koszta pierwszego urządzenia wszelkich zakładów naukowych czynione są nie w interesie samejże teraźniejszości, lecz zarazem i dla pożytku przyszłych pokoleń.

W tem miejscu zauważyć jeszcze wypada, że nieodróżnianie wydatków, idących na powiększanie majątku krajowego, od kosztów administracji dziedziną samorządu i utrzymania tegoż majątku, zastosowane nietylko w rzeczach wychowania publicznego, ale także we wszystkich innych rubrykach budżetowych, nie pozostało bez wpływu na obecną stopę dodatku ściąganego od państwowych podatków bezpośrednich. Przez trzecią część stulecia kraj poczytywał za ciężar bieżący, spadający na każdoroczny dodatek do podatków, nietylko to, co wedle mowy handlowej wyobrażało procent, ale zarazem i to co wytwarzało lub powiększało kapitał. Budował bowiem drogi, gmachy i wykonywał dzieła użyteczności publicznej, słowem powiększał rubrykę „ma" swego majątkowego bilansu, nie wprowadzając jednocześnie do rubryki „winien" równowartości tego powiększania; nie zaciągał bowiem pożyczek na dokonywanie rzeczonych dzieł, ale ich kosztem obciążał zawsze pokolenia ówczesne, chociaż z tych dzieł i przyszłość odnosić miała pożytek, a więc kosztem tym słusznie i sprawiedliwie można było obciążać szereg pokoleń czyli pokrywać pożyczkami krajowemi.

Takiej metody mogą wprawdzie trzymać się rządy krajów samoistnych, rozporządzające całkowitą siłą podatkową mieszkańców, choćiaż i one — w ogólnej regule — dzieła tego rodzaju wykonywają za pomocą zaciągania pożyczek. Takiej metody nie może jednak trzymać się administracja dziedziny samorządu krajowego, mająca bardzo ograniczone źródła, z których swe wydatki pokrywa, jeżeli pragnie dodatku do podatków nie doprowadzić do stopy krańcowej, jak to się stało u nas. Metodę tę należałoby przeto stanowczo porzucić, przyjmując zasadę, że każde dzieło użyteczności publicznej obarczać winno nie jedno pokolenie, ale ich szereg.

Zwracając się do wydatków na cele oświaty i łącząc wykazywane w kilku rubrykach budżetowych, można wnosić, że obecnie wynoszą one około 1,200.000 zł., a zarazem przewidywać, że nie przestaną wzrastać z każdym następnym rokiem. Rzeczą będzie właściwych czynników udeterminować: ile z powyższego wydatku pójdzie na koszta pierwszego urządzenia nowopowstających zakładów naukowych, a więc, ile i jakiej natury takichże nakładów powstać ma w ciągu lat 10. Mając dane te pod ręką, Sejm będzie w możności oznaczyć, do jakiej wysokości przy zaciąganiu nowej długoletniej pożyczki, jej cyfra miałaby być na ten cel powiększoną. Wszystkie bowiem koszta utrzymania szkół i zakładów naukowych, w każdym roku z osobna, muszą być pokrywane wyłącznie dodatkiem do podatków, w tymże roku ściąganym, chociażby wynikała ztąd potrzeba corocznego podwyższania stopy tegoż dodatku. Ciężar ten nie powinien być przenoszonym z roku na rok, i tym sposobem dawać ulgę teraźniejszości kosztem przyszłości, która przecież będzie w obowiązku także utrzymywać rzeczone zakłady naukowe, a nawet płacić na tenże cel jeszcze więcej, niż płaci pokolenie obecnie żyjące.

W dziedzinie wychowania publicznego, tak samo jak we wszystkich innych gałęziach administracji samorządu krajowego, byłoby pożądanem, aby wydatki nie były uchwalane sporadycznie, od przypadku do przypadku, czyli każda pozycja budżetu z osobna, lecz aby wydatki te stawały się wynikłością planu, obmyślanego systematycznie na pewien okres czasu — planu, opierającego się na ujęciu w cyfry wszystkich obowiązków i zadań, w tymże okresie przewidywanych, i na jednoczesnem wskazaniu, z jakich mianowicie źródeł będzie pokrywaną ogólna suma, z tego obliczenia wypadająca. Ta zaś metoda postępowania jest szczególniej wskazaną, ilekroć dochody istniejące okazują się być niewystarczającemi i nowe pożyczki krajowe zaciągać przychodzi. W takich bowiem razach nie można zadawalniać się załatwieniem trudności bieżącej chwili, lecz koniecznie należy ogarnąć wzrokiem pewien okres czasu i na tenże okres przyjąć systematyczny plan działania. Wedle tego, co w tym względzie zostało wypowiedzianem wyżej, najodpowiedniejszym byłby okres 10-letni.

(C. d. n.) *Antoni Wrotnowski.*

Z miejsc kąpielowych.

Szczawnica 20 lipca.

Wśród gór, lasów, potoków, skał i turni w podkarpackiej dolinie w różnych kierunkach, rozsiadła się wieś samemi willami różnego stylu zdobna, a mieszkańcy tem więcej urozmaicają owe zbiegowisko ludzi z różnych stron kraju i z obczyzny z różnych stanów i warstw społecznych tu przybyłych. Zobaczysz najliczniej reprezentowane różnobarwne stroje górali, jako miejscowych osadników, chałaty synów Izraela, najliczniej może tu się zbierających, i wysoką szlachtę, baronów, hrabiów, i dwóch książąt, literatów, kupców, spekulantów i blagerów, których w żadnych miejscach kąpielowych nie braknie, i poważne wiekowi odpowiednie fizjognomie i młodzież wesołą i dorodną obojej płci i malkontentów i prawdziwie chorych, szukających ulgi w tych tu zdrojowiskach w cierpieniach swych fizycznych, i w końcu takich, którzy wypoczynku i rozrywki tu szukają.

Miejscem, w którem całe życie wre, czy to rozkoszą, czy samą tylko wibracją nerwów, jest klub szczawnicki, w którym towarzystwo niemal całej inteligencji się koncentruje. Tam się odbywają baliki, reuniony, pikniki, koncerta, amatorskie przedstawienia, różne zabawy dziecinne i dla dorosłych, których to zabawek liczymy 200 numerów w katalogu.

Pism perjodycznych polskich 22 i acz mała, ale doborowa bibljoteczka. Klub liczy obecnie 175 członków i daje inicjatywę dla całej Szczawnicy, tak górnej jak dolnej, do dziennego programu spędzania przyjemnie czasu pobytu u wód, urozmaicając go wycieczkami w urocze Pieniny, po nad brzegami szybko i śmiało w różnych łukach i zakrętach bieżącego Dunajca, a w górę strzelające szczyty gór aż do 2000 stóp po nad powierzchnią morza wystają, jak n. p. tak zwane Trzy Korony, Sokolica, Wilczy skok, Cukrówka i inne.

Trudy podróży z zadowolnieniem nawet chorzy znoszą, napawając swe zbolałe piersi balsamiczną wonią powietrza iglastych lasów, pojąc wzrok prawdziwie uroczemi skarbami natury, która tak hojnie urok czarujący rzuca na przybyszów.

Podróż na łodziach na Dunajcu, którego sine wody po porohach i niedźwiedziach (podwodnych skałach) roztrąca ą się, z szybkością pary się odbywa, gdyż od celu wycieczek, Czerwonego Klasztoru, do Szczawnicy na przestrzeni 21 kilometrów spadek wody wynosi 14 metrów.

Podróż ta stanowi zaczarowane koło niespodzianek dla turystów, mianowicie po raz pierwszy takową odbywających. Elipsowy bieg koryta Dunajcowego zdaje się kończyć przy każdym zakręcie i naraża ową łupinkę, na której płyniemy, na niechybne rozbicie o wapniste granitowe lub marmurowe pokłady pionowo w nurtach Dunajca bałwanów, kąpiących swe podnóża skał i gór.

Daleko po Europie szukać trzeba równych piękności natury, a bodaj czy tamże cywilizacji ręka nie zeszpeciła tego uroku dla romantyków i poetów, rozkoszujących się pierwocinami dzikiej natury bez ram blichtrem nowoczesnych wymagań ozłoconych.

Przed trzema tygodniami odsłonięto w grocie umyślnie w tym celu zbudowanej, tablicę pamiątkową dla męża tak krajowi całemu zasłużonego, a specjalnie dla Szczawnicy, jako miejsca corocznym pobytem jego zaszczyconego, śp. marszałka Mikołaja Zyblikiewicza, która to tablica wypukłą rzeźbą bronzową przypomina biust jego artystycznie wykonany przez znanego artystę cyzelera Hakowskiego Nałęcza z Krakowa. Rzeźba ta wraz z grotą kosztowała 1000 guldenów i zadowolnić może nawet wybredny sąd krytyków.

Szczawnica przy obecnie stałej pogodzie codziennie jeszcze zaludnia się nowo przybyłymi gośćmi. Życie tutaj i mieszkania są znacznie tańsze jak u wód zagranicznych, a wygody i komfort z rokiem każdym robią swe postępy. Z gości najliczniej reprezentowana jest Kongresówka i prowincje zabrane. Poznańczyków nieznaczna tylko liczba. Jest krakowski teatr, dający 4 tygodniowo przedstawienia, znany skrzypek artysta Freiman, panna Czyżowska i Szawłowska śpiewaczki, magik Siedlecki, cyrk wędrowny etc. Ofiarność przytem gości kąpielowych z dawien dawna znana na nędze drugich, na cele szlachetne, na budowę nowego prześlicznego Kościoła, który jest na ukończeniu itd.

Drugi zjazd historyków polskich

we Lwowie.

Dalej ciągnął prof. Balzer w te słowa:

„Jeżeli n. p. p. Bobrzyński powiada, że w pewnym okresie dziejów zadaniem szlachty było dać poparcie rządowi, albo, że pewien król źle uczynił, iż z ruchu szlachty nie skorzystał, co każdy inteligentny czytelnik pozna, że to nie jest niewzruszalny dogmat historyczny, ale zapatrywanie autora, na które czytelnik zgodzić się może, jeżeli argumenta jego przemówią mu do przekonania, ale które też odrzucić może, jeżeli ich siła dowodowa wyda mu się za słabą. Kwestja subjektywizmu w pracach historycznych jest tedy bez porównania mniej niebezpieczną, niż się to wydaje p. referentowi, a w każdym razie nie zwraca się ona przeciwko samej t. zw. szkole krakowskiej. Zapatrywania krytyczne uczonych z Krakowa mogą być prawdziwe, mogą być i błędne, jak jakichkolwiek innych uczonych; ale potępiać ich w czambuł dla tego tylko, że wyszły z Krakowa, nie możemy. I tutaj zechciejcie panowie rozważyć konsekwencje: jeżeli dziś potępimy jedną grupę zapatrywań, to jutro z innej strony może się poprawić żądanie, abyśmy potępiali inne wprost przeciwne zapatrywania, boć i te będą subjektywne. Zjazdy nasze, zamiast obradować nad rozwojem pracy historjograficznej, przemienią się na wzajemnem potępianiu zapatrywań. Któż zresztą ma przywilej na nieomylność, i kto ma prawo potępiać zapatrywanie drugiego dla tego tylko, że ono nie jest naszem własnem? Może nasz punkt widzenia jest lepszym, ale może i gorszym? W każdym razie, jeżeli już drugich potępiamy, to starajmy się przynajmniej wykazać, że błądzą.

I oto rzecz, której napróżno szukałem w referacie p. Korzona. Szan. p. referent nie szczędzi zarzutów uczonym krakowskim, ale nigdzie nie powiada: dla czego? Każe nam odrzucić ich sposób krytykowania dziejów, ale może przecież mają oni słuszność, kiedy twierdzą, że w danych warunkach polityka katolicka była potrzebną, wzmocnienie władzy rządowej koniecznem, sojusz z tem lub owem państwem pożądanym. P. referent nie wykazał niesłuszności tych zapatrywań, a jednak wnosi potępienie. Zjazd nasz ma być rodzajem trybunału, który na kilku uczonych zamieszkałych w Krakowie ma wydać werdykt: winni, i to nawet bez dowodu winy ze strony oskarżyciela. Nie panowie, nasz zjazd jest ciałem prawodawczem, a nie sądem; naszem zadaniem jest: radzić, jak popchnąć naprzód naukę historji polskiej, ale nie potępiać pewne grupy historyków. Jeżeli ci historycy w badaniach swoich doszli do błędnych konkluzyj, podejmijcie z nimi dyskusją naukową, wykazując niedostatki każdego twierdzenia. To jest jedyna broń, którą w nauce walczyć należy z przeciwnikami. Wtedy wierzyć wam będziemy nawet bez uchwały zjazdu. Ale dopóki tego nie uczynicie, nie żądajcie ani uchwały zjazdu, ani też nie spodziewajcie się, iżby sama ona przekonać kogokolwiek zdołała.

Z tych powodów wnoszę, ażeby szan. zgromadzenie obie pierwsze rezolucje p. referenta odrzuciło."

Mowę tę nagrodzili zgromadzeni prawdziwą burzą oklasków i wielkie wywarła ona na słuchaczów wrażenie. Wszyscy uczuli w słowach tych gorącą chęć wyświetlenia prawdy, zupełne pojęcie jasnego kierunku historjografji naszej, i zimne, krytyczne a ściśle bezstronne zapatrywanie się mówcy, na całokształt dzisiejszych prac historycznych. Mowę tę bezsprzecznie też zaliczyć można, do najlepszych utworów retorycznych, jakie słyszeliśmy w ostatnich czasach, a pod względem jasności myśli, logicznego kojarzenia się poglądów i ściśle objektywnego naukowego poglądu, nie ma równej sobie.

Po prof. Balzerze zabrał głos p. Piotr Chmielowski: „Nie jestem, rzekł on, fachowym historykiem polskim, lecz zajmując się badaniem i historją literatury polskiej, zajmuję się pośrednio także i historją, która tu taką wywołała dyskusję.

Wszyscy panowie z natężoną uwagą śledzicie biegu dyskusji, a to dowodzi, iż kwestja ta, którę poruszył referent była piekącą, iż potrzeba ją było przecie raz wypowiedzieć, aby wybrnąć z labiryntu, w śród którego znajdowaliśmy się.

Nie będę się podejmował bronić szczegółów, które zbijał p. Balzer, gdyż to sam referent uczyni, lecz sądzę, iż główny punkt ciężkości referatu p. Korzona nie spoczywa w tych 3 wnioskach przedłożonych pod obrady zjazdu. Dwa pierwsze punkta są tego rodzaju, że mogą wywoływać dyskusje nie kończące się i nie mogące doprowadzić do uchwytnego, mogącego się usprawiedliwić i umotywować wniosku.

Czy historja jest *magistrae vitae* czy nie, czy człowiek może myśleć objektywnie czy nie, to są wszystko zagadnienia filozoficzne, bardzo nawet niebezpieczne. Mojem zdaniem, główna myśl referatu p. Korzona, mogąca na przyszłość błogie wydać owoce znajduje się w ustępie, który brzmi: Przykładając tedy miarę naukową do prac naszych, przekonamy się, że chlubić się nam wolno tylko z elytorstwa i badań monograficznych, ale całokształtu dziejów Polski, ani określeń przydatnych do konstrukcji ogólnej nie posiadamy wcale. Mamy porządną cegielnię, lecz budownictwa jeszcze uczyć się musimy".

Zdanie to charakteryzuje rodzaj badań i kierunku nowego, polegającego na bardzo drobnostkowem, na mikroskopijnem prawie badaniu szczegółów, które posiadają wprawdzie wartość, ale nie należą do kwestyj obchodzących szersze koła.

Ten sam kierunek drobnostkowy panował przez lat wiele w naukach przyrodniczych. Powiedziano sobie: porzućmy syntezę, trzeba zbadać drobnostkowo każdy objaw w naturze, a zarzucić hipotezy, uogólnienia, które drażnią jednych i drugich. Ale błędnem to zapatrywanie, bo umysł ludzki potrzebuje uogólnień, potrzebuje jakichś prawd, któreby jak światło rozjaśniały jego wątpliwość i dążenia na przyszłość. Ta dążność tak jest wrodzoną człowiekowi, że wszelkie przepisy ukrócić jej nie potrafią.

Zobaczono też wkrótce tę błędną drogę, na którą wstąpiły nauki przyrodnicze, powrócono więc do uogólnień, pracują obecnie nad zbadaniem ogólnych dziejów przyrody. Tak samo i w historji należy szersze uwzględniać pytania. Ta sama myśl wyrażoną została i w referacie p. dr. Finkla, i słusznie, bo tylko uogólnienie poglądu na dzieje, zebranie mrówczej pracy w jeden całokształt, któryby udowodnił, że prace drobnostkowe przynoszą korzyści nietylko specjalistom, lecz także ogółowi chcącemu poznać historję rodzinną, może zachęcić go do czytania ojczystych dziejów."

Trzeci z rzędu mówca ks. dr. Skrochowski polemizował z p. Korzonem w filozoficznych kwestjach subjektywizmu i objektywizmu. „Nie podobna rzekł mówca — abyśmy tylko tego historyka uważali za dobrego, który nam podaje objektywne sądy, gdyż człowiek jako człowiek zawsze subjektywnie myśleć musi, a jedynym sędzią objektywnym spraw ludzkich, przeto i historji jest tylko Bóg jeden."

Niezrozumiałym jest również dla mówcy, zarzut zrobiony przez referenta krakowskiej szkole, iż zwolennicy jej w dziełach swych wysuwają swą żarliwość dla wyznania katolickiego, uległość swą dla Kościoła. Mówca rozumie w tej sprawie tylko dwa stanowiska, albo stanowisko człowieka, który miał czas i sposobność zgłębić, że jedynie prawdziwą, jedynym objawieniem jest religja katolicka, a w takim razie wspomnianego zarzutu ten człowiek nie postawi, albo też stanowisko uczonego, który w tej sprawie powiada: „nie wiem!" To byłoby najracjonalniejsze. Nie może jednak powstawać na katolicyzm ten, który nie ma dowodu, iż objawienie, iż katolicyzm jest nieprawdą. „Uważam więc — kończył mówca — te uwagi jako krzyk subjektywny p. Korzona, przeciw wszelkim twierdzeniom, które się z jego subjektywizmem nie zgadzają. Gdybym miał już potępiać, tobym potępił nie subjektywizm szkoły krakowskiej lecz p. Korzona".

P. dr. Dembiński wykazywał, że wnioski p. Korzona przesiąknięte są pessymizmem, i są zamachem na całą dotychczasową historjografję. Cel wniosków p. Korzona da wyrazić się słowami: „Piszmy całą historję na nowo". P. Mańkowski wystąpił przeciw ks. Skrochowskiemu, zarzucił mu niewłaściwe pojmowanie subjektywizmu, gdyż sąd czysto logiczny jest objektywnym.

Z kolei zabrał jeszcze raz głos p. Balzer: „Miałem zadanie bardzo przykre, rzekł on, gdyż musiałem wystąpić przeciwko jednemu z najzasłużeńszych pracowników, dla którego największe mam uznanie, gdyż on jakby różczką czarodziejską odkrył nam tajniki życia Rzeczypospolitej, i wykazał dowodnie, że wielka tkwiła w nas siła, gdyż znaleźliśmy zasoby chęci i siły w nas samych do regeneracji, do poprawienia właśnie w chwili, gdyśmy chyżym krokiem dążyli do upadku. Lecz owiany chęcią służenia sprawie naszej publicznej i nauce, nie wystąpiłem przeciw osobie, lecz przeciw myślom, które poddać należy krytyce. Podam do wiadomości panów jedno wyrażenie p. referenta. W liście prywatnym, pisanym do mnie w tej sprawie, wypowiedział p. Korzon zdanie, „iż byłby szczęśliwym, gdyby go przekonano, iż zapatrywania jego są pessymistyczne." Ja zaś dodam, że i ja czułbym się szczęśliwym, gdyby go uwagi moje przekonać zdołały. Niech zjazd ten będzie punktem zwrotnym w działaniach naszych, i pragnę, abyśmy odtąd, gdyśmy tu wypowiedzieli swe zdania, przedsięwzięli wspólnie pracować dalej dla jednej idei, dla dobra nauki i społeczeństwa, dla wykrycia prawdy. Niech zjazd ten będzie gałązką oliwną, która doprowadzi do porozumienia i do zgody."

Oba przemówienia p. Balzera wywarły wrażenie na p. Korzona, który zabrał ostatni głos w tej sprawie. Zaznaczył on, iż nie będzie popierał lub bronił swych wniosków, gdyż kwestja ta już go nic nie obchodzi od chwili, gdy ogłosił je drukiem i poddał pod obrady zjazdu. Że zaś kwestja ta była na czasie, przekonuje go żywa dyskusja, jaka tu toczoną była. Przez wystąpienie swe chciał referent doznać tylko tego, aby historję oddzielono od wszystkich innych kierunków działalności człowieka, a więc od polityki, prozelityzmu religijnego, od teoryj ekonomicznych i od życia."

Po tej odpowiedzi, której treść nie mogła zmienić wrażenia całej poprzedniej dyskusji, przystąpiono do głosowania. W dyskusji formalnej postawił p. Parczewski wniosek tej treści, że zgromadzenie uznaje się niekompetentnem do powzięcia uchwały, co do dwóch pierwszych rezolucyj referenta. Zaś p. Bobrzyński żądał wprost przejścia nad niemi do porządku dziennego. Gdy dr. Bobrzyński, aby nie utrudniać głosowania, wniosek swój cofnął, przyszedł wniosek p. Parczewskiego najpierw pod głosowanie i znaczną większością uchwalony został. Tym sposobem odpadły dwie pierwsze rezolucje p. Korzona. Odpadła też i trzecia, albowiem w jej miejsce uchwalono przytoczoną wyżej rezolucję p. Balzera.

Na tem zakończono tak bardzo ciekawą dyskusję, która nie była też płonną, gdyż już, jak donieśliśmy, p. Korzon, publicznie na „obiedzie historyków" uznał się za zwyciężonego, i przyznał, że nie istnieje żadna „krakowska szkoła", lecz tylko szkoła historyczna polska, której uczniowie dążą do zbadania prawdy i pracują dla dobra ojczyzny, którę gorąco ukochali.

Mały Fejleton.

Między niebem a ziemią.

Przed paru tygodniami dwóch mieszkańców Kolonji: kupiec Piotr Schmitz i fabrykant Depenheuer, pod przewodnictwem aeronauty Wolffa przedsięwzięli balonem „Stollwerck" napowietrzną wycieczkę.

Była to jedna z najniebezpieczniejszych wypraw w historji aeronautów.

Zanosiło się na burzę już w czasie puszczania balonu; to też zaledwie dosięgnięto wysokości 1800 metrów, gdy Wolff uznał za stosowne w okolicy Bensberg balon ku ziemi skierować.

Ten moment tak opisuje sam aeronauta:

Pod nogami ciągnął się wielki szmat lasu, balon szybko opadał. Wreszcie dostrzegłem u stoku wzgórza wygodną do wylądowania polankę; pociągnąłem za wentyl i spuściłem kotwicę: Balon opadał co raz niżej. Zauważono nas już z ziemi i ludzie zbiegli się w celu przytrzymania nas w razie potrzeby. Raz jeszcze za wentyl i poleciłem Schmitzowi, żeby się z łodzi opuścił; w chwilę później opuścił ją z kolei Depenheuer.

Nagle uderzenie trąby powietrznej porwało balon ze mną w górę: dwóch ludzi dostrzegłem wiszących u brzegów łódki. Jeden z nich — mieszkaniec okolicy — spadł wkrótce, słyszałem uderzenie ciała jego o ziemię; drugim był Schmitz.

Kłęby chmur miałem już pod sobą, a balon wciąż pędził w górę; jak sądzę, znajdowałem się już przynajmniej 3000 metrów ponad ziemią. Próbowałem przyjaciela wciągnąć do łódki, ale daremnie.

Traciłem głowę. Zębami przytrzymując Schmitza za ubranie, próbowałem go związać liną ratunkową, którą wreszcie udało mi się przesunąć mu pod ramionami i zaciągnąć. Pomoc to jednak była wątpliwa. Gdyby go bowiem siły opadły i gdyby się puścił balonu, lina nie zdołałaby go utrzymać.

Biedak trzymał się jednak wytrwale, tak iż po długich usiłowaniach zdołałem nadto linę jako oparcie podrzucić mu pod prawą nogę.

Praca ta zajęła około 25 minut. Teraz chodziło o jak najszybsze opuszczenie się z balonem. Pociągnąłem za wentyl. Opadamy. Po chwili balon znalazł się wśród chmur i burzy szalonej; ta ostatnia rzucała nim jak piłką, a towarzyszyły temu grad, ulewa i błyskawice. Istne piekło. Nie mogąc się utrzymać na nogach, położyłem się w łódce. Widziałem tylko kurczowo brzeg jej obejmujące palce rąk przyjaciela mojego. Liny, podtrzymujące go, obluzowały się, wisiał jedynie na rękach. Chwyciłem go za ramię, jednocześnie drugą ręką manewrując wentylem.

Z szybkością pociągu kurjerskiego przebiegliśmy nad domem jakimś, wlekliśmy się już po ziemi prawie. Wtedy rozkazałem Schmitzowi, z obawy, aby go nie poraniła kotwica, opuścić się na ziemię, co gdy się stało, balon, o 195 funtów lżejszy, znowu wzbił się pod chmury.

Teraz jednak swobodniej już mogłem działać. Otworzyłem wentyl na czas dłuższy i wkrótce znalazłem się ponad lasem w Overath i nie namyślając się wiele, zeskoczyłem z łódki na jedno z drzew, po którego gałęziach stoczyłem się na ziemię. — Balon schwytano dopiero pod Olpe w Westfalji.

Niebezpieczna wyprawa. Na szczęście wszyscy z niej wyszli cało; albowiem i ów człowiek, który, chcąc przytrzymać balon porwany nim został wraz ze Schmitzem, tak jak i ten ostatni, spadając żadnego nie doznał szwanku.

Kronika.

Lwów 24 lipca.

Dar. Najj. Pan udzielił z prywatnej swej szkatuły gminie Grodawice, w pow. Staromiejskim, na restaurację cerkwi, zapomogę w kwocie 100 zł.

Mianowania. Prezydent sądu krajowego wyższego w Krakowie, zamianował sierżanta 54 bataljonu obr. kraj. w Wadowicach, Adolfa Dydyńskiego, kancelistą sądu obwodowego w Wadowicach, zaś podoficera rachunkowego I. kl. przy p. p. nr. 56 w Krakowie, Zygmunta Siermontowskiego, kancelistą przy sądzie obw. w Rzeszowie.

Ślub synowicy Ojca świętego. W tych dniach odbyło się w Rzymie wesele panny Konstancji Spezzy, córki rodzonej synowicy Ojca św., z hr. Salwatorem Salimei, gwardzistą szlacheckim Papieża. Ślub dawał narzeczonym w bazylice Najświętszej Panny Większej, czyli Śnieżnej, monsignor Cezar Spezza, protonotarjusz apostolski i kanonik tejże bazyliki, a brat panny młodej.

Na ślubie były rodziny Peccich, Spezzów i Salimeich, oraz mnóstwo osób z arystokracji rzymskiej. Po ceremonji i śniadaniu, które podano w sali kanoników liberjańskich, państwo młodzi, przebrawszy się tylko, mieli posłuchanie u Ojca świętego. Papież nie tylko swojej wnuczce piękne podarował klejnoty, ale kazał własnym kosztem mieszkanie nowożeńców umeblować.

Stopień lekarzy weterynarji otrzymali w tutejszej szkole weterynarji: Włodzimierz Sas Bilński z Brzozdowiec, Franciszek Dötsch ze Lwowa, Józef Jackowski z Radymna, Markus Kaczkowski z Krakowa, Jan Mikołaszek z Kelcz na Morawie; Bernard Rathaus z Tarnopola.

P. Antoni Schiffner radzca dworu, dyrektor gal. poczt i telegrafów, wyjechał do Karlsbadu.

Konkursa. Podania z prośbą o nadanie opróżnionej posady zarządzcy urzędu pocztowego w Wadowicach, należy wnieść najpóźniej do 7 sierpnia br. do dyrekcji poczt i telegrafów we Lwowie.

Wydział lwowskiej Izby adwokackiej ma do rozdania zapomogę roczną w kwocie 100 zł., z fundacji ś. p. M. Madeyskiego dla wdów i sierót po adwokatach, którzy mieli siedzibę w okręgu lwowskiej Izby. Podania należy wnieść do dnia 31 sierpnia b. r. do Wydziału Izby adwokackiej we Lwowie.

Z Uniwersytetu P. Jakób Mester, rodem z Przemyśla, otrzymał na Uniwersytecie Jagiellońskim stopień dra praw.

Zabawę towarzyską połączoną z przedstawieniem amatorskiem, urządza w niedzielę dnia 27 bm. Wydział Stowarzyszenia rękodzielników lwowskich „Gwiazda" w ogrodzie własnym przy ulicy Franciszkańskiej l. 7. Zabawę rozpocznie koncert muzyki wojskowej 30 p. p., potem nastąpią tańce oraz rozmaite gry i zabawy towarzyskie, a wieczorem o g. 8 członkowie Stowarzyszenia ze współudziałem artystki sceny lwowskiej p. B. Linkowskiej, odegrają dramat „Karpackich Górali" Korzeniowskiego. Dochód czysty przeznaczony na fundusz Stowarzyszenia. W razie niepogody przedstawienie odbędzie się w sali.

Komitet pierwszej izraelickiej Kuchni ludowej we Lwowie uchwalił, z okazji zaślubin arcyksiężniczki Marji Walerji, z końcem bm. odbyć się mających, rozdzielić w dniach 30 i 31 bm. między godz. 12 a 2 w południe po 400 obiadów bezpłatnie dla ubogich miejscowych.

Wystawa architektoniczna w Turynie. Za pośrednictwem ministerstwa spraw wewnętrznych wniosła ambasada włoska w Wiedniu prośbę o pozwolenie zaproszenia miasta Krakowa do wzięcia udziału w wystawie architektonicznej, która otwartą zostanie dnia 28 września rb. w Turynie. — Z wystawą tą połączony będzie oddział międzynarodowy dla planów asanacji, rozszerzeń miasta i innych tym podobnych projektów.

W skutek tego zaproszenia weźmie gmina m. Krakowa udział w tej wystawie i prześle plany i fotografje wszystkich zakładów miejskich i szkół, a oprócz tego plany sytuacyjne miasta z szesnastego wieku i z czasów późniejszych, oraz najdawniejszy widok perspektywiczny miasta, jaki się w archiwum magistratu znajduje.

Sprostowanie. Od posła Leona Grotowskiego otrzymujemy następujące pismo:

Szanowna Redakcjo!

W numerze 164 *Przeglądu* z 18 bm wyczytałem w części ekonomicznej ogłoszenie z wystawy wiedeńskiej o bydle galicyjskiem tej treści:

„Nadto otrzymali etc. medal bronzowy: Leon Grotowski z Jaćmirza za simentalery."

Błędne to ogłoszenie powoduje mnie do oświadczenia i sprostowania, że przed rozpoczęciem czynności premjowania oświadczyłem zastępcy przewodniczącego, że wobec tego składu komisji sędziów o nagrodę się nie ubiegam, i żadnego medalu nie przyjmowałem. Z prawdziwem poważaniem

Grotowski.

Z Biskowic (pod Samborem) nam piszą:

Dnia 15 bm. odbył się popis uczniów i uczennic szkoły biskowskiej, który, jak co roku, zaszczyciła swoją obecnością właścicielka Biskowic z hrabiów Badenich Marja hr. Dunin Borkowska. — Mimo nieznośnego gorąca, jakie panowało w izbie szkolnej, dostojna pani znosiła wszelkie niewygody stąd pochodzące, aby przekonać się o postępach dziatwy w naukach, sama stawiała dzieciom pytania i wypytywała się o najdrobniejsze szczegóły dotyczące szkoły i zdrowotności dzieci.

Po ukończonym egzaminie hojnie obsypała podarkami dziatwę, jak: książkami do czytania i do nabożeństwa, obrazkami Świętych, pularesikami z monetą wewnątrz, scyzorykami, piórami, ołówkami itp. Prócz tego uczęstowała dziatwę do syta owocami i ciastami.

Za tak szczere zaopiekowanie się co roku szkołą i za ten godny naśladowania przykład zarząd szkoły składa dostojnej Pani niniejszem publiczne podziękowanie. *Nowosielski* kierownik szkoły.

Zmarli. W Poznaniu zmarł zasłużony lekarz, dr. Jan Marjan Rymarkiewicz.

Popis polskich uczenic w Paryżu. W niedzielę dnia 20 b. m. odbył się pod przewodnictwem p. Izabelli z ks. Czartoryskich hr. Działyńskiej w hotelu Lambert popis i rozdanie nagród uczennicom instytutu panien polskich, przy nader licznym współudziale rodziców uczenic i zamieszkałych w Paryżu rodaków. Uroczystość zaczęła się od konkursu muzycznego. W grze na fortepianie najbardziej odznaczyły się

panny Zofja Gebauer, Cecylja Pianszewska i Bohdana Okińczyc, wnuczka Bohdana Zaleskiego.

Uznania godną jest treskliwość, z jaką lekcyj muzyki udzielała młodziutka nauczycielka panna Zofja Cytowicz, była uczennica hotelu Lambert.

Muzykę przeplatały deklamacje. Po ukończeniu produkcyj muzycznych rozdawano nagrody i uwieńczono najlepsze uczenice. Pierwsze nagrody otrzymały panny: Julja Gasztowttówna, córka znanego profesora i literata, Bohdana Okińczycówna, Marja Paszkowiczówna, Henryka Szumanówna i Marja Wileńska.

Olbrzymkę, w całem tego słowa znaczeniu, pochowano ubiegłego tygodnia w Paryżu. Nazywała się Wiktorja Tantin, miała lat 18, była wzrostu miernego i ważyła — o zgrozo — 470 funtów. Obwód jej w pasie mierzył 2 metry i 10 centimetrów. Ramiona tego igrzyska natury mierzyły w obwodzie po wyżej łokcia 90 centimetrów.

Naiwny Saksończyk. W jednej z gazet saskich pojawiło się w tych dniach następujące ogłoszenie: „Młody człowiek zakochany po uszy, pragnie wygrać wielki los w celu pozyskania ręki swej ubóstwianej Małgosi, która ma jej bez zabezpieczenia sobie przyszłości oddać nie chce. Żądanie to jej stanowi warunek *sine qua non*. Zakochany Saksończyk uprasza przeto 21 dobroczynnych osób, aby mu raczyły przysłać łaskawie po 10 marek, i tym sposobem dopomogły mu do kupienia całego losu na krajową loterję saską. — Adres: C. R. „Niech żyje Małgosia“ *poste restante* Detmold“.

Sumienny sędzia. Członek angielskiego magistratu policyjnego w Birmie, człowiek młody, przepędził pewnego razu wesoły wieczór w gronie towarzyszy. Po skończeniu biesiady zgaszono wszystkie lampy na ulicach miasta. Nazajutrz młody sędzia obudził się w ciężkiem usposobieniu fizycznem, a nadto z przekonaniem, że naruszył swój obowiązek jako urzędnik. Zawezwał tedy natychmiast wszystkich uczestników gaszenia lamp do sądu, a gdy się wszyscy zgromadzili, z uroczystą miną wygłosił perorę i skazał każdego na grzywnę dwudziestu rupji, siebie zaś, jako arańtera zdrożnej zabawy, na sto rupji!

O śmierci Ryszarda Wallace, tego w całym świecie znanego filantropa, doniosły onegdajsze nasze depesze. Przez przeciąg 72-letniego życia rozsypał on tyle dobrodziejstw, tyle ofiar, tyle najszlachetniejszych czynów, że nie ma prawie zakątka w Anglji i we Francji, gdzieby nie znano jego imienia, nie znano jego serca.

Jeszcze przed wojną francusko-niemiecką osiadł on w Paryżu; w czasie oblężenia i wichrzenia komunny rozdawał krocie franków na wsparcie wdów i sierót, na pielęgnowanie rannych, na karmienie głodnych. 300.000 franków przeznaczył na utworzenie ambulansów, a we własnym domu urządził szpital dla rannych. Jego to stało się zabiegami, że Anglja dostarczała żywności Paryżowi; jego to było dziełem, że głód w Paryżu nie zabijał starców i dzieci. Królowa angielska, uznając filantropijne zasługi Wallace'a, mianowała go baronem, a rząd francuski nadał mu komandorstwo legji honorowej.

Po tej strasznej wojnie od 1870—1871 roku nie zamknął dla ludzi serca i szkatuły; przeciwnie, chciał być szlachetnym i hojnym dla wszystkich i był nim do końca życia. W r. 1873 urządził wiercenie artezyjskich studzien, które Paryżowi i Francji darował. W r. 1879 wybudował na „Avenue de Neuilly“ ogromny szpital. Na wystawie wiedeńskiej w r. 1873, będąc jednym z reprezentantów Anglji w sekcji artystycznej, wybudował swoim kosztem dwa wielkie domy dla robotników angielskich, którzy na wystawę przybywając mieli tam zupełne utrzymanie bezpłatne. Dodać należy, że był wielkim znawcą i wielbicielem sztuki, to też pozostawił znakomite zbiory artystyczne.

Był ożeniony z córką jenerała Castelnaua.

Z Krogulca nam piszą:

Doroczny popis w 2-klasowej szkole ludowej w Krogulcu odbył się d. 10 bm. pod przewodnictwem delegowanej przez Radę szkolną okręgową pani Tomaszowej Horodyskiej i w obecności ks. Isydora Kisielewskiego, gr. kat. proboszcza miejscowego.

Po skończonym popisie wyraziła p. Przewodnicząca w imieniu Rady szkolnej okręgowej zupełne zadowolnienie z postępów w przedmiotach szkolnych, w kobiecych robótkach i w ogóle z moralnego zachowania się dzieci, a ks. Kisielewski, imieniem przewodniczącego miejscowej Rady szkolnej, podziękowawszy pp. nauczycielom za ich sumienną, gorliwą i skuteczną pracę, zachęcał młodzież do dalszego kształcenia się, zachowania w pamięci i zastosowania wszystkich drogocennych nauk i wskazówek, którymi je szkoła na drogę życia pielgrzymkę wyposażyła.

Po odśpiewaniu pieśni za Cesarza i „Mnohaja lita“ na cześć opiekunów i dobrodziejów szkoły, nastąpiło rozdawnictwo przez p. Horodyską nabytych premij składających się z materji na trzy komplety ubrania dla chłopców, płótna na tyleż koszul, chustek dla dziewcząt, 45 egzemplarzy książeczek pięknie oprawnych i złotym napisem „Nagroda pilności“ zaopatrzonych, 2 większych oszklonych obrazów świętych w ozdobnych ramach, scyzoryków, mnóstwo obrazków i medalików. Radości, jaka malowała się na rozpromienionych twarzyczkach wyróżnionej młodzieży, nie podobna opisać. Długo ona zachowa w swem sercu pamięć tej dobrej pani.

Imieniem tak hojnie obdarzonej młodzieży szkolnej i jej rodziców, którzy pragnąc wyrazić wdzięczność swej szlachetnej i wspaniałomyślnej dziedziczce za najserdeczniejszą opiekę nad młodzieżą szkolną a nadto za bezinteresowne udzielaną pomoc niedostatkiem dotkniętym miejscowym i zamiejscowym uboższym mieszkańcom w zboże, wiktuałach, odzieniu i lekach, uprosili mnie do złożenia publicznego podziękowania, podając szlachetne tej pani czyny do publicznej wiadomości, dołączając staropolskiem „Bóg zapłać!“

Zarząd szkoły ludowej w Krogulcu.

Stanisław Winiarski.

Rada miasta Podgórza wysłała 20 bm. deputację do JE. ks. kardynała Dunajewskiego, złożoną z radnych: ks. kanonika Serschenia, pp. Emila Serkowskiego, Władysława Marchwiczyńskiego, Franciszka Marjewskiego, dr. Bronisława Gańkiewicza i Jakóba Geisslera.

W imieniu deputacji i całego miasta zabrał głos p. Emil Serkowski, wyrażając w pięknej, w duchu katolickim wypowiedzianej przemowie, radość i szczęście miasta Podgórza z powodu wyniesienia Jego Eminencji ks. kardynała Dunajewskiego na kardynała ku chwale narodu i ku przysporzeniu blasku tej prastarej stolicy krakowskiej, na której zasiadali Oleśnicy, Radziwiłłowie, Sołtykowie i inni. Przemowę zakończył słowami prośby o błogosławieństwo dla miasta Podgórza, którego tenże JEm. książę-kardynał biskup krakowski, rozrzewniony tym dowodem przywiązania swych diecezjan, raczył udzielić.

Teatr. Dziś, we czwartek, przedstawienie prestidigitatora, p. Romana. — W sobotę i w niedzielę odbędą się dwa ostatnie przedstawienia p. Romana.

Literatura i Sztuka.

* **Prof. Z. Morawski.** „Rośliny w przysłowiach, przypowieściach i przenośniach języka polskiego.

Dyrekcja gimnazjum w Rzeszowie przysłała nam sprawozdanie za rok szkolny 1890. Kronikę i statystykę szkolną, ułożoną przez dyrektora p. Trzaskowskiego, poprzedza maleńka, dziesięciokartkowa rozprawka p. Zygmunta Morawskiego, pod tytułem: „Rośliny w przysłowiach, przypowieściach, porównaniach i przenośniach języka polskiego“.

Pomysł opracowania tego przedmiotu jest bezsprzecznie nowym, i dość słusznie skarży się autor, iż materjał ten do tej pory nigdzie nie został opracowany. Skargę autora ograniczylibyśmy jednak tylko do „roślin w porównaniach i przenośniach języka polskiego“, gdyż o tem w istocie nikt z pisarzy polskich nie pisał. Liczne zaś materjały o „roślinach w przysłowiach i przypowieściach“ może autor znaleść w „Zbiorze przysłów“ Nomysa, który w dziełku swem przytacza prawie wszystkie przysłowia, odnoszące się do roślin. Również wiele przysłów i przypowieści może autor znaleść w cennem dziele prof. Bron. Gustawicza p. t. „Podania ludowe w dziedzinie przyrody“ i w broszurze p. E. Kolbuszowskiego p. n. „Podania ludu polskiego o roślinach“, jak również w feljetonach jego, drukowanych w roku zeszłym i bieżącym w *Przeglądzie* p. t. „Rośliny u ludu“.

Nazwisko prof. Morawskiego, jako badacza podań ludowych i mytów z dziedziny przyrody, od dawna już jest chlubnie znanem, a nowa praca tworząc niejako dopełnienie wydanej w roku 1884 broszurki jego p. n. „Myt roślinny w Polsce i na Rusi“ świadczy o głębokich i żmudnych badaniach autora na tem polu i o umiejętnem opanowaniu zebranego przez niego materjału.

To też praca ta mimo rozstrzelonego niepomiernie przedmiotu, czyta się mile, a otwierając przed nami skarbiec bogactw języka ojczystego, nie tylko przyrodników, ale i szersze koła zająć może. Jedno tylko byłoby do zarzucenia, że autor w zbyt szerokie wstępuje pole od razu, a rzecz nie mogąc być wyczerpana robi wrażenie suchych zapisków do szerszego dzieła. Dla próbki przytoczmy dwa z tych zapisków, mogące zająć gospodarzy na temat grochu i żyta.

I tak autor cytuje zdania dawnych pisarzy polskich o grochu:

Lepszy groch doma, niżli w gościnie zwierzyna (Żeglicki Adagia Warszawa 1751).

Na oznaczenie trudu próżnego mawiali starzy Polacy:

To tyle pomoże, co na piecu groch siać.

Póki żyta, póty byta, mówi rubaszny hreczkosiej-poeta, Rej itd.

Jak widzimy, dziełko to i tę ma zaletę, że ratuje ginące już przysłowia ojczyste, w których najlepiej się przedstawia złoty humor, dowcip i rozum narodu.

Część ekonomiczna.

§ **Choroby stadne.** W czasie od 10 do 17 lipca b. r. stwierdzono z chorób zaraźliwych zwierzęcych:

Zarazę pyskową i racicową: w Rozdzielu, Łąkcie dolnej, Łapanowie, Brzezowej, Kamyku (pow. bocheński); Bednarce, Bystrze, Lipinkach (pow. gorlicki); Kamionce wielkiej, Brunarach wyżnych (pow. grybowski), Kasinie wielkiej, Porąbce, Jurkowie, Chyszówkach (pow. limanowski); Woli krzemienieckiej (pow. łańcucki), Wilkonoszy, Wirchomli wielkiej, Roztkaryterku, Rytrze, Gołkowicach pol. (pow. nowosądecki), Waxmundzie, Starem bystrem (pow. nowotarski), Okuninie, Brzeźnicy, Brzozówce (pow. rzeszowski).

Parchy u koni: w Jaworznie (pow. chrzanowski).

W powyższym czasie wygasły:

Zaraza pyskowa i racicowa: w Zdrochcu (pow. brzeski), Niecieczy, Miechowicach wielkich (pow. dąbrowski), Rzyskach ad Wojsław (pow. mielecki), Białej, Makowie (pow. myślenicki), Muszynce, Krynicy, Tyliczu, Podegrodziu, Niszkowej, Chochorowicach, Gorzkowie, Librantowej, Klęczanach (pow. nowosądecki), Głobikowej (pow. pilzneński), Olszanach (pow. przemyski), Żółdcu (pow. żółkiewski).

Nosacizna u koni: w Łuce małej (powiat skałacki).

Parchy u koni: w Rakowie (powiat sanocki).

§ **Na wystawę wiedeńską** odszedł w tych dniach drugi transport bydła. W transporcie tym mieści się bydło opasowe.

§ **Krakowskie Towarzystwo rolnicze** wzywa producentów chmielu, którzy chcą wziąć udział w wystawie wiedeńskiej, aby bezzwłocznie nadesłać zechcieli do bióra Towarzystwa (Karmelicka l. 42), deklaracje wypełnione, aby można na czasie zamówić odpowiednie miejsce u komitetu wystawy.

§ **Z pomiędzy krów**, których dojność próbowano na wystawie wiedeńskiej, pierwszą nagrodę otrzymała nie ta, która dała największą ilość mleka t. j. 22·67 litr, lecz krowa o wydoju 18·53 litr.

Rozbiór chemiczny wydojonego mleka wykazał, że mleko nagrodzonej pierwszą nagrodą zawierało 5·18 prct. tłuszczu i 14·23 pr innych stałych części; — mleko drugiej krowy zawierało jedynie 3·05 pr. tłuszczu.

§ **Górnictwo austrjackie.** Świeżo ogłoszone przez ministerstwo rolnictwa sprawozdanie statystyczne o rozwoju górnictwa austrjackiego w roku 1889 wykazuje znakomite postępy w tej gałęzi gospodarstwa społecznego.

Ogólna wartość górniczej produkcji w roku 1889 dosięgła cyfry 58·9 milj. zł., była przeto wyższą o 4·9 milj. zł. od wartości tej produkcji w r. 1888, gdy równocześnie wartość wyrobów hutniczych podniosła się o 2·1 milj. i wynosiła 32·7 milj. zł.

Zbiorowo biorąc i potrącając wartość surowej rudy, przerobionej w hutach, ogólna wartość produktów górniczych, wydobytych w r. z. przedstawia cyfrę 78·8 milj. zł., wyższą zatem od po zaprzeszłorocznej o 6·5 milj. zł., czyli o 9%.

W porównaniu z r. 1880, w którym ogólna wartość górniczej produkcji Austrji dosięgła kwoty prawie 58 milj. zł., wzrost jest ogromnym, wynosi bowiem 35%. Nie jest on jednak jednostajnym we wszystkich krajach koronnych, bo kiedy w Czechach, Morawie i Szląsku wartość produkcji górniczej wzrosła z 37·05 na 55·25 milj. zł., to pozostała ona prawie niezmienioną w Styrji, Karyntji i niższej Austrji, a w Galicji spadła z 1·47 na 1·32 milj. zł.

Z przyrostu przeto 20 milj. zł. na wartości górniczej produkcji Austrji przypada na Czechy, Morawę i Szląsk 18·2, na same zaś Czechy 10·4 milj. zł.

Z ogólnej wartości górniczej produkcji Austrji w r. 1889, tj. z wykazanych wyżej 78·8 przypada 73 milj. zł. na żelazo i węgle. Eksploatacja obu tych produktów kopalnianych przedstawiała w r. 1880 kwotę 50·55 milj. zł., wzrosła przeto o prawie 50%, wynosiła bowiem wartość wyprodukowanego

	w r. 1880	w r. 1889
	miljonów zł.	
żelaza	15·25	23·57
węgla brunatnego .	15·37	22·86
„ kamiennego .	19·33	26·64

W produkcji żelaza trzy kraje koronne Austrji biorą główny udział. Są to Czechy, Morawja i Styrja, które dostarczyły w r. 1880 żelaza wartości 10·69, w r. 1880 zaś w wartości 17·15 milj. zł. I tu jednak wzrost produkcji wyszedł wyłącznie na korzyść Czech i Morawji. Styrja bowiem zarówno jak Karyntja nie zwiększyła swojej produkcji żelaza, przeciwnie produkcja obu tych prowincyj, wynosząca w roku 1880 milj. zł. 8·56, umniejszyła się w r. 1889 do cyfry 7·86 milj. zł.

Wzrost w produkcji węgla brunatnego, wynoszący 6·49 mil. zł., przypada w zupełności na rachunek Czech, albowiem ich produkcja w okresie lat 1880—9 wzrosła z 8·30 na 14·70 zł.

W eksploatacji węgla kamiennego równe prawie miejsca zajmują Szlązk i Czechy. Z wartości tego węgla wydobytego w r. 1889 w kwocie 26·64 mil. zł., na Szlązk przypada 10.42, na Czechy 10·97 mil. zł., lecz w wzroście produkcji węgla kamiennego, której wartość wynosiła w r. 1880 kwotę 19.33 mil. zł., Czechy nie biorą prawie żadnego udziału, gdy przeciwnie w Morawji wzrosła wartość wydobytego węgla w latach 1880—9 z 5.71 na 10.45, na Szlązku z 2.80 na 4.14 mil. zł.

Jak wyżej wspomniano, ogólna produkcja górnicza Galicji w r. 1889 — wyłączając sól i naftę z pobocznemi jej produktami — przedstawiała wartość 1,326.309 zł., czyli 1.68 prct. wartości ogólnej produkcji górniczej Austrji. O ile przeto produkcja Galicji w r. 1889 w porównaniu z produkcją w roku 1880 obniżyła się o 150.000 zł. w. a., to w porównaniu z produkcją w r. 1885 wzrosła o 76 zł. i w porównaniu z produkcją z roku 1887 powiększyła się o 179.632 zł. W których gałęziach przemysłu górniczego tkwi przyczyna tego zwiększenia, tego nie wyjaśniają materjały, które stoją nam na usługach, a wystarczy zapewne powiedzieć, że nasz przemysł górniczy w stosunku do ogólnego przemysłu górniczego Austrji przedstawia się jako:

5.01%	w produkcji żelaza lanego	
0.01%	„	„ kutego
38.07%	„	cynku
6.01%	„	węgla kamiennego
0.06%	„	węgla brunatnego.

§ **Na wtorkowy targ na nierogaciznę** w Wiedniu przypędzono 4845 sztuk, a to mianowicie: 1195 prosiąt, —— średnich i 3650 świń opasowych.

Płacono: za towar przedni po 40½—41½ ct., wyjątkowo — ct., za towar średni po 39 — 40 ct., za lekki po 36—38 ct., za prosięta po 36 do 45 ct. za kilogram żywej wagi prócz opłaty akcyzowej.

Wiedeń 22 lipca.

(Z) Po kilku dniach szalonych upałów, dziś ochłodło powietrze. Chłód ten nie oziębił bynajmniej usposobienia naszej spekulacji giełdowej, przeciwnie, pod hasłem pomyślniejszych notowań na giełdach niemieckich i taniejącego w Berlinie kredytu, rozwinął się kierunek zwyżkowy. Grano więc na haussę i przeprowadzono ją istotnie w całym materjale, lecz zupełny brak odbiorców zmusił w końcu spekulację do puszczenia się w kierunek zniżkowy, co oczywiście podcięło poranne notowania, lecz nie odjęło wielu akcjom bankowym i transportowym zejść z targu z pewnemi, nieznacznemi nadwyżkami. W papierach przemysłowych i rentach ruch był niewielki, a w skutek tego, chociaż poszły naprzód renty wspólne i węgierskie, obniżyły się obie renty austrjackie z wczorajszego kursu po 20—25 ct. Ruble rosyjskie dosięgły dziś w Berlinie kursu 240·75, zatem tej wysokości, jakiej nie dosięgały nigdy od lat piętnastu. W tym czasie, tj. w r. 1874 najwyższy kurs banknotów rosyjskich doszedł do cyfry 288.88 marek, w r. 1875 spadł na 281.00, spadł dalej w latach 1876 i 1877 na 251·50 i 234.00, a po odparciu ataku wojsk rosyjskich na Plewnę obniżył się na 187.65 marek.

Ostatecznie dziś notowano:

Kredyty austrjackie 305 —, węgierskie 349·75, Anglobanki 154·75, Uniony 238·25, Bankvereiny 119·50, Länderbanki 227·70, Ludwiki 203·25, Czerniowieckie 229·75, Renta papierowa 88·45, srebrna 89·50, austrjacka złota 109·05, papierowa 101·15, węgierska złota 102·15, papierowa 100·10.

Telegramy „Przeglądu“.

Wiedeń 24 lipca. Na dzisiejszem końcowem posiedzeniu ankiety w sprawie połączenia Wiednia z przedmieściami uchwalono, że Wiedeń podzielonym będzie na 19 okręgów z 129 radzcami. Rada miejska składać się będzie z burmistrza, dwóch zastępców burmistrza i 21 członków wybieralnych. Wybrany z ramienia Rady miejskiej burmistrz potrzebować będzie potwierdzenia cesarskiego.

Wiener Ztg ogłasza, że szef sekcyjny Niebaner został na własne żądanie uwolnionym od obowiązku komisarza rządowego przy banku austro-węgierskim, a na jego miejsce został mianowany radzca ministerstwa skarbu Geiringer Winterstein.

Kopenhaga 24 lipca. Król nadał arcyksięciu Karolowi Ludwikowi order słonia.

Sofja 24 lipca. Stambułów przybył do Burgas. Nowy dyplomatyczny ajent Serbji, Steicz, przybył tu aj i złożył natychmiast wizytę kierownikowi ministerstwa spraw zewnętrznych.

Kierownik ministerstwa rewizytował Steicza. Rada miejska uchwaliła zaprowadzić w Sofii elektryczne oświetlenie.

Hamburg 24 lipca. Według depeszy Lloydu na parowcu angielskim „Egipt“, który 10 b. m. wypłynął z Nowego Jorku do Londynu, miał wybuchnąć pożar wśród morza; załoga uratowana.

Praga 24 lipca. *Politik* donosi z całą stanowczością, iż na mocy rozporządzenia cesarskiego, już począwszy od roku 1891 wejdzie w życie na uniwersytecie czeskim fakultet teologiczny z czeskim językiem wykładowym. Przezto więc — dodaje *Politik* — nastąpił już całkowity rozdział obu uniwersytetów, spełniło się oddawne upragnione życzenie czeskiego narodu.

Wiadomość tę naród czeski przyjmie z radością i ze szczerą wdzięcznością dla Cesarza. Dalej, dodaje *Politik*, iż naród czeski z wdzięcznością wspominać będzie i Riegera, który poruszył sprawę tę na ostatniej sesji sejmu.

Bruksela 24 lipca. Król przyjął wczoraj w ratuszu adres gratulacyjny rady miejskiej. Nawiązując do słów burmistrza, że król stoi po nad stronnictwami i wszystkich Belgów swoją opieką otacza, rzekł król: „Uczucie to żywić będą zawsze dopóki życia mego. Obowiązek konstytucyjny łatwy jest jak każde inne zadanie, które się chce uczciwie spełnić. Wszystkie stronnictwa mają jednakowe prawo do mego zaufania.“ Ludność witała króla entuzjastycznie, gdy jechał do ratusza, i gdy wracał do swego zamku.

Londyn 24 lipca. Międzynarodowa konferencja parlamentarna ukończyła swoje obrady przyjęciem rezolucji, żądającej zaprowadzenia sądów rozjemczych i z pewnemi zmianami uchwaliła, aby wstawić klauzulę, że i spory w sprawach handlowych sądy rozjemcze załatwiać powinny. Uchwalono również, aby w każdym kraju utworzono komisje parlamentarne, które w sporach wybuchnąć mogących zasięgałyby wzajemnie opinji. Następna konferencja odbędzie się w roku przyszłym w Rzymie.

Paryż 24 lipca. Marja Mohrenheim córka ambasadora rosyjskiego poślubiła barona Derege, porucznika przy 95 pułku piechoty.

Gazeta Koburska została upoważniona zaprzeczyć doniesieniu francuskich dzienników o rozmowie księcia Ernesta z korespondentem dziennika *Siècle*, które to doniesienie jest tylko wymysłem.

Tutejszy poseł Guatemali otrzymał depeszę, iż układ podpisany został przez wszystkie rzeczypospolite Ameryki środkowej. Układ ten ma na celu zmusić jen. Ezetę do ustąpienia i przywrócić rząd prawny w Salwadorze. Do starcia między wojskiem z Gwatemalu a Salwadoru podobno nie doszło.

Kilonja 24 lipca. Tutejsza gazeta pisze, że niewiadomo nic o tem, aby francuski admirał Planche miał zwiedzać tutejsze marynarskie urządzenia.

Gastein 24 lipca. Cesarzowa z arcyks. Walerją odjeżdża 26 b. m. osobnym pociągiem do Ischlu.

Buenos Ayres 24 lipca. Uwięzieni za współudział w spisku oficerowie staną przed sądem wojennym. Oddział kawalerji, który strzegł mieszkania prezydenta, powrócił do koszar. Obiega tu również pogłoska, iż pewna grupa londyńskich bankierów oświadczyła, iż chętnie udzieli rządowi argentyńskiemu pożyczkę w kwocie dziesięciu miljonów funtów szterlingów. Ażjo od złota wynosi tu 206 w Montevideo zaś 35.

Barcelona 24 lipca. Przeszło dwa tysiące bastujących robotników fabrycznych przeważnie kobiet demonstrowało wczoraj po ulicach miasta. Gwardja obywatelska musiała tłumy rozpędzać, a gubernator wydał rozporządzenie, zabraniające zbiegowiska i wszelkie demonstracje. Kilka fabryk zastanowiło ruch swój.

Karlsbad 24 lipca. Książę bułgarski Ferdynand, ma według doniesienia *Pol. Corr.* jutro w południe nadzwyczajnym pociągiem udać się do Koburgu.

Waszyngton 24 lipca. Obradującemu tu kongresowi przedłożono korespondencję wymienioną między Anglją a Stanami Zjednoczonemi w sprawie cieśniny Berynga. Z rozkazu Salisburyego wręczył Pauncefote dnia 14 czerwca Blainowi notę, w której zaprzecza temu, jakoby rząd Stanów Zjednoczonych miał prawo ograniczać wolność żeglugi po morzu beryngskiem dla okrętów angielskich, albo też nakładać na nie areszt, i oświadcza dalej, iż rząd Stanów Zjednoczonych sam sobie przypisać musi winę następstw, jakie wskutek jego postępowania, nie zgadzającego się z prawem narodów, wyniknąć mogą.

Paryż 24 lipca. Wedle doniesienia ajencji Havasa układy między Anglją a Francją postępują raźnie. Salisbury chciał je rozszerzyć na prawa przysługujące Francji w stosunku do Egiptu i Neufundlandu, lecz Ribot opierając się na prawach, które Francji przyznano, stanowczo nie zgodził się na tę propozycję. Do Paryża mają być niebawem wysłani dwaj delegaci angielscy, aby w porozumieniu z Ribotem oznaczyć granice francuskiego wpływu w okolicy jeziora „Czad“. Przysłanie tych delegatów uważa ajencja Havasa za dowód, że układy pomyślnie postępują.

Berlin 24 lipca. *Reichsanzeiger* poświęca gorące słowa pamięci zmarłego jenerała kawalerji Pejacsewicza i wykazuje, że Austrja utraciła w zmarłym najdzielniejszego i najpopularniejszego oficera, a Niemcy zaufanego przyjaciela, który w znacznej części przyczynił się do utrzymania w armji austro-węgierskiej szczerych, koleżeńskich uczuć dla Niemiec.

Hamburg 24 lipca. Pierwszy parowiec „Reichstag,“ nowo założonej linji wschodnio-afrykańskiej wyrusza w drogę.

Paryż 24 lipca. W komisji budżetowej deputowany Dubois podał wniosek, aby podatek od wyrobu spirytusu podnieść do 230 franków.

Wedle doniesienia dzienników wyjechać miał minister marynarki do Cherbourga dla zbadania szkód, ucierpianych przez statki.

Doniesieniu dzienników, jakoby ambasador włoski zażądał zadosyćuczynienia za zniewagę flagi włoskiej zaszłą 17 b. m., przeczą z wielu stron.

Madryt 24 lipca. W Valls, koło Barcelony znów wybuchły rozruchy z powodu, że niektórzy robotnicy stanęli do roboty. Bastujący robotnicy zgromadziwszy się dopuszczali się gwałtów, w obec czego władze były bezsilnemi. Bastownicy wybijali okna w fabrykach, a dopiero gwardja narodowa zdołała przywrócić porządek.

Londyn 24 lipca. Bawiący w Sunderland sekretarz narodowego stowarzyszenia marynarzy wydał manifest do właścicieli okrętów, zapowiadający ogólną bastówkę marynarzy, która ma się rozpocząć w sobotę wieczorem a potrwać dopóty, dopóki marynarze duńscy nie otrzymają takiej samej zapłaty jak angielscy. Manifest ma na celu zmusić angielskich właścicieli okrętów do tego, aby użyli w obec duńskich właścicieli swego wpływu na korzyść tamtejszych marynarzy.

Nadesłane.

Przyjechali do Lwowa

24 lipca 1890.

HOTEL GEORGA. J. Jodko z Podola ros. M. hr. Borkowski z Mielnicy. A. Ressig z Wiednia. M. Garapich z Cebrowa. W. Niezabitowski z Łanek. St. hr. Wiśniewski z Krystynopola. J. dr. Czerwiński z Fürstenhofu. A. i A. hr. Wodziccy z Olejowa. J. Zadurowicz z Wełczkowa.

Z zbożowych targów.

23 lipca	Lwów	Tarnopol	Podwołoczyska	Jarosław
Pszenica	7.——7.75	7.——7.75	7.——8.—	8.——8.25
Żyto	6.——6.50	6.——6.50	6.——6.50	6.70—7.—
Jęczmień	6.——7.50	6.——7.50	6.——7.50	6.50—7.75
Owies	7.——7.50	—.— .—	6.75 7.—	6.80—7.20
Groch	6.— 12.—	6.— 10.—	6.— 10.50	6.— 11.—
Wyka	6.— 7.—	7.50—9.—	8.——9.—	8.— 9.50
Rzepak	10.—10.60	10.—10.50	10.—10.30	10.25 11.—
Chmiel	—.——.—	—.——.—	—.——.—	—.——.—
Konic. czer.	32.—45.—	30.—45.—	28.—40.—	32.—45.—
Konic. biała	—.——.—	—.——.—	—.——.—	—.——.—
Okowita	9.75 10.25	—.——.—	—.——.—	—.——.—

wszystko (z wyjątkiem chmielu) za 100 kilo netto bez worka.

Ceny tylko nominalne. Brak kupujących. Rezerwa z jednej i z drugiej strony.

Wiedeń 24 lipca. Pszenica na jesień 7·26, na wiosnę —·—. Żyto na jes. 5·90 do 5·92, na wiosnę 6·15 do 6·20. Owies na jes. 6·51 do 6·53, na wiosnę 6·78 do 6·83. Spirytus 13·75.

Peszt 24 lipca. Pszenica na lipiec 7·34 do 7·36, na jes. 6·92 do 6·94. Owies na jes. 6·16 do 6·18, na wiosnę 6·52 do 6.54. Spirytus 13·— do 13·25.

Berlin 24 lipca. Pszenica na lipiec 213·—, na jesień 184·50. Żyto loco 169·—, na jes. 154·25. Owies na lipiec 170·25, na jesień 139·—. Spirytus loco 38·10, na lipiec 36·75, na jesień 36·75 marek.

Telegram giełdowy.

Wiedeń dnia 24 lipca godz. 1. min. 55.

Akcje kredyt.	304.25	Węg. kolej półn. wschodn.	96 50
Alpiny	95 90	Wiedeńskie losy kom.	147 —
Kredyty węg.	349 75	Akcje tyton.	118 75
Anglobanki	156.—	Gal.obl. indem	104 50
Uniony	238.—	Elbethale	231 —
Ludwiki	201.85	Länderbanki	228.—
Nordbany	279 —	Renta zł. węg.	102·20
Lombardy	36 50	Bankvereiny	119 80
Losy tureckie	36 —	Renta węg. pap.	100 17
Staatsbahny	235 50	Ruble	137 —
Czerniowieckie	229 50		

Usposobienie spokojne.

Lwów. Z Izby handlowej 24 lipca 1890

1. Akcje za sztukę.

bez kuponu bieżącego bez dywidendy.	płacą	żądają
Kolej galic. Kar. Lud., 200 zł. w. a.	201 —	204 —
„ lwow.-czer-jass. 200 zł. w. a.	229 50	231 50
Banku hip. galic. 200 zł. w. a.	295 —	298 —
„ kredyt. galic. 200 zł. w. a.	— —	216 —

Listy zastawne za 100 złr.

Banku hipot. 4½% wa. los. w 50 lat.	98·50	—·—
Banku hyp. galic. 5% „ „ 40 „	101 40	102 10
Banku hyp. galic. 5% z 10% pr.	107 30	108 —
Banku krajowego 4½% wa.	99 —	99 70
Tow. kred. galic. 5 „ „	100 65	101 35
„ „ „ 4 „ „ nieokr.	98 10	98 80
„ „ „ 5 „ „ los w 37 l.	100 65	101 35
„ „ „ 4 „ „ „ „ 41½	95 40	96 10
„ „ „ 4½% „ „ „ 52 l.	100 10	100 80
„ „ „ 4 „ „ „ 56 „	95 —	95 70

3. Listy dłużne za 100 złr.

G. Z. kr. wł. (daw. 6%) 3% w likw.	58 —	61 —
„ „ „ „ (daw. 5%) 2¼% „	49 50	— —

4. Obligi za 100 złr.

Indemnizacyjne galic. 5 pro. m. k.	104 20	104 90
Galic. fund. propinacyjnego 4% „	92 70	93 40
Kom. banku kraj. 5 pro. w. a. I em.	100 75	— —
Pożyczka kraj. z r. 1873 6 pro. w. a.	104 50	— —
„ „ „ 1883 4½% „	98 40	99 10

5. Losy:

Losy miasta Krakowa	22 25	24 25
„ „ Stanisławowa	27 —	30 —

6. Monety

Dukat holenderski	5.38	5.48
Dukat cesarski	5.48	5.56
Napoleondor	9 28	9.26
Półimperjał rosyjski	9.50	—·—
Rubel rosyjski srebrny	1.32	1.42
„ „ papierowy	1. 6	1 38
100 marek niemieckich	56.75	57 25

Pociągi kolejowe.

Podług zegaru lwowskiego (Od 1 czerwca 1890)

Do Lwowa przychodzą:	Pociąg pośp. lub kurjer	Pociąg osobowy	Pociąg osobowy	Pociąg mieszany
Z Krakowa	4·08	9·28	8·50	7·15
Z Podwołoczysk	2·20	7·30		8·15
Z Podwołoczysk na Podzamcze	2·08	7·01		2·38
Ze Suchy, Chyrowa, Stryja, Husiatyna i Stanisławowa . .		8·36		
Z Budapesztu, Munkacza, Ławocznego, Stróżego, Chyrowa, Stryja, Husiatyna i Stanisławowa		12·08		
Z Suczawy Czerniow. i Stanisł.		6·58		
Z Bukaresztu, Jass, Czerniowiec, Husiatyna i Stanisławowa .		2·—		
Z Bukaresztu, Jass, Czerniowiec, Husiatyna i Stanisławowa .	8·—			
Z Bełzca (Tomaszowa) . . .				5·41
Z Bełzca tylko we wtorki i piątki				10·17
Ze Lwowa odchodzą:				
Do Krakowa	2·28	8·30	4·20	7·20
Do Podwołoczysk	4·11	9·50		10·35
Do Podwołoczysk z Podzamcza	4·22	10·15		11·05
Do Stryja, Chyrowa, Stróżego, Ławocznego, Munkacza, Budapesztu, Stanisławowa i Husiatyna		5·50		
Do Stryja, Chyrowa i Suchy .		10·20		
Do Stryja, Chyrowa, Suchy, Ławocznego, Munkacza, Budapesztu, Stanisł. i Husiatyna		8·45		
Do Stanisławowa, Czerniowiec, Jass, Bukaresztu i Husiatyna	9·16			
Do Stanisławowa, Czerniowiec, Jass i Bukaresztu . . .		4·30		
Do Stanisławowa, Husiatyna, Czerniowiec i Suczawy . .		10·16		
Do Bełzca (Tomaszowa) . .				8·08
„ „ tylko w piątki . .				2·29
„ „ tylko we wtorki .				4·43

Uwaga: Godziny podkreślone linijką oznaczają porę nocną od godziny 6tej wieczorem do 5 godz. 59 m. rano.

40)

GORZKA NAGRODA.

Powieść

przez

Mrs. ARGLES.

Przekład z ang. N. Krzyżanowskiej.

(Ciąg dalszy.)

— Bardzo to poczciwie z twej strony, żeś przyjechała do mnie — mówiła z taką serdecznością, jak gdyby zobaczyła kogoś równego sobie zupełnie. — Tak miło mi widzieć cię tutaj.

Miss Westlake czuła się wzruszoną takiem przyjęciem.

— Ależ pani — wyrzekła — zdobywszy się na słowa wreszcie. — Witasz mię jak gościa, a przecież przybyłam tu w charakterze sługi tylko.

— Zapominasz, moja droga, że byłaś mą koleżanką, że pracowałyśmy razem. I owszem, proszę cię, Madziu, gdy jesteśmy same, nazywaj mnie, jak dawniej, siostrą Vilną poprostu. Chociaż opuściłam już zgromadzenie, przypomni mi to stare, szczęśliwe czasy. Pamiętasz błogie owe chwile? — dodała ze łzami w oczach, opierając rękę na ramieniu dziewczyny. — Samo ich wspomnienie, widzisz, nie pozwala mi traktować cię inaczej.

Za całą odpowiedź, Magdalena zarzuciła ramiona około wysmukłej, delikatnej kibici swej pani i ucałowała ją serdecznie. Vilna wzajemną pieszczotą stwierdziła traktat przyjaźni.

— Kazałam, aby ci podano kolację w moim pokoju — ciągnęła dalej. — Gdy czego zapotrzebujesz, zadzwoń tylko, a pokojowa przybiegnie natychmiast. Ja muszę zejść na dół, mam bowiem gości na obiedzie; podejmuję doktora Iredale i parę innych osób.

Na dźwięk tego nazwiska, rysy Magdaleny najwyższe wyraziły zdumienie; Vilna jednak w w przeciwną spoglądała stronę, mówiąc takim tonem, jak gdyby wizyty lekarza były tu rzeczą zwyczajną.

Dziewczyna poczuła się niemile dotkniętą. Jeżeli miss Lascelles przyjmuje doktora Iredale — myślała — w takim razie, nie dzieląc widocznie ogólnych uprzedzeń, ma go za niewinnego, a w zamian oskarża o zbrodnię Wincentego Castelnau, bo wszak prócz ich trojga nikogo tam więcej nie było.

Vilna tymczasem, nie spostrzegając na pozór jej milczenia, ciągnęła dalej:

— Wiesz pewno, iż doktor Iredale mieszka obecnie przy ulicy Świętej Anny w Londynie. Wyrobił tu sobie liczną i zyskowną praktykę.

— I pani go lubisz? podjęła Magdalena z wahaniem.

Vilna wzruszyła lekko ramionam.

— Zyskuje przy bliższem poznaniu — odparła wymijająco. — Muszę już uciekać; dobranoc, Madziu.

Uścisnęła rękę mniemanej swej panny służącej, a patrząc w smutne i zdumione oczy dawnej koleżanki, dodała z prośbą:

— Nie sądź źle o mnie, Madziu!

W chwilę później nie było już jej w pokoju.

Co to miało znaczyć? Dla czego żądała, aby jej źle nie sądzono? Czyż słowa te odnosiły się do zupełnego zerwania między nią a Castelnau? Jeżeli tak, zkąd ta nowa przyjaźń? Vilna nie należała do kobiet, zapominających łatwo o dawnych uczuciach.

Pomimo zaniepokojenia, Magdalena, znużona podróżą, zasnęła tak twardo, iż nazajutrz o ósmej poruszenie klamki zbudziło ją dopiero. We drzwiach złotowłosa główka i czarne błysnęły oczy:

— Co to, przestraszyłam cię? — zaśmiała się Vilna. — No, śpij i wypocznij dobrze, ja właśnie idę na śniadanie...

— Jakto?...

— Sądziłaś może, iż czekać będę, abyś mnie ubrała zrana? Nie, moja droga; chociaż zamiast kamlotu noszę aksamit, w tak wielką damę nie zmieniłam się jeszcze.

— Więc moje miejsce ma być synekurą? — podjęła zmartwiona.

— Coś w tym rodzaju — brzmiała filuterna odpowiedź. — Zresztą cierpliwości! Znajdziesz i ty zajęcie; tymczasem : *Au revoir*!

I główka, aureolą jasnych otoczona włosów, cofnęła się szybko.

XXV.

— Aniu — mówiła Vilna, zasiadłszy z krewną swą przy śniadaniu. — Nie zechciałabyś czasem pójść dziś ze mną do teatru?

— I owszem, moja droga. Czy ci co na tem zależy?

— Pragnę, aby doktor Iredale pojechał z nami — odparła spokojnie.

— Może mu to będzie nie na rękę?

— Nie na rękę? Ha, ha, ha — zaśmiała się Vilna — ależ onby wszystkich chorych porzucił na moje skinienie. Wszak widzisz, że zaniedbuje praktyki, że ciągle tu przesiaduje i gotów tańczyć tak, jak mu zagram tylko! Gdyby sobie pozwolił nie stawić się na wezwanie, poślę natychmiast po kogo innego, a przytem postaram się, aby doktor Iredale wiedział, że i bez niego znalazłyśmy towarzysza.

— Jak to dziwnie, słyszeć ciebie, Vilno, mówiącą językiem kokietki.

— I postępującą, co więcej, w sposób, kokietki tylko godny — uzupełniła żartobliwie. — Ale, cóż robić. Wiesz, Aniu, przyszła mi myśl, której potwierdzenie chcę właśnie na doktorze Iredale wyłudzić.

— Myśl? Jakaż to, Vilno?

— Oto podejrzywam, iż kochał się on we mnie wtedy już, gdym panią Castelnau pielęgnowała.

— Nie może być? — podjęła mrs. Davenant zdumiona. — Byłabyś to przecież spostrzegła ówcześnie.

— Och, nie zwracałam na niego najmniejszej uwagi! Zajęta wyłącznie mojem zadaniem, niewiele zważałam na doktora; on zaś, w razie potrzeby, doskonale udawać i wrażenia swe ukryć potrafi. Nie potrzebował zresztą wielkiego panowania nad sobą; spotykaliśmy się rzadko, tylko przy łóżku chorej, i o niej wyłącznie mówili. Nie miał więc najmniejszej sposobności do zdradzania się z swojemi uczuciami, a ja, jak wiesz, nie zwykłam posądzać kogokolwiek o zajęcie się moją osobą.

— Jeżeli tak było — przyznała mrs. Davenant po krótkim namyśle — to zapewne musiał on mieć dobre powody do ukrywania sercowej swej tajemnicy.

— Dlaczego? — podjęła Vilna szybko. — Nie mógł przecież wiedzieć, jaki stosunek łączy mnie z Castelnauem? Nie przypuszczał, czem byliśmy dla siebie?

— Zapewne; z chwilą jednak, gdyby, porzucając rolę lekarza, przeszedł do czułych wyznań, mogłaś wpłynąć z łatwością na odebranie mu zyskownej posady domowego doktora w Templemore.

— Prawda — przyznała — po chwili zaś namysłu dodała:

— Do jakiego pójdziemy teatru?

— Grają dziś ładną sztukę w Court-Theatre.

— Dobrze; niech będzie Nadworny. Poślę zaraz po lożę, a równocześnie napiszę słów parę do Iredale'a.

Bilecik, skreślony szybko, brzmiał jak następuje:

„Drogi doktorze! czy mając chwilkę wolną, nie raczyłbyś pan przyjąć krzesła dziś w wieczór w naszej loży? Może zjemy razem obiad, a później zechcesz nam towarzyszyć do Nadwornego Teatru? Sprawiłoby to wielką przyjemność czekającej na pana i szczerze mu życzliwej

Vilnie Beatryczy Lascelles".

Nietylko, iż Klemens Iredale zjawił się na wezwanie, lecz on, smakosz zawołany, dziś, pod wpływem zadowolnienia i dziwnego czaru, nie zwracał nawet uwagi na podawane potrawy, nie słyszał, co na scenie mówiono; myśl jakąś wyłączna, a przyjemna widocznie, całą jego pochłaniała uwagę.

Do zadowolnienia tego szczególny miał dzisiaj powód: zaledwo pochylony z galanterją kilka uprzejmych wymówił wyrazów, gdy w loży naprzeciwległej błysnęła jasna tualeta, a miejsca zajęte zostały przez Wincentego Castelnau i młodą, urodziwą, a nieznaną doktorowi kobietę.

Iredale śledził badawczo, jakie widok ten uczyni wrażenie na Vilnie. Nie omylił się; był to dla niej cios niespodziewany. Pobladła śmiertelnie, poczem krwawa purpura oblała jej lica. Trwało to mgnienie oka zaledwo; opanowując bowiem wzruszenie, okazane tylko silnem zaciśnieniem dłoni dookoła wachlarza, zróciła się do mrs. Davenant z obojętną uwagą o lornetkach, które tak natarczywie kierowały się na ich lożę.

Zarówno jednak bladość, jak rumieniec i nerwowe ust drżenie, nie uszły uwagi Iredale'a; tłumacząc je zaś na swój sposób, nie posiadał się z radości.

Vilna tymczasem, ufająca ślepo w miłość i honor Wincentego, nie myślała wcale być zazdrosną o kobietę, której towarzyszył. Bolało ją tylko, iż Castelnau widzi ją kokietującą Iredale'a; że ci, co ich znają wśród publiczności, będą mieli powód do nowych plotek; że, uwierzywszy w zerwanie łączących ich stosunków, powiedzą:

— A, jakże się prędko pocieszyli oboje!

Badawcze oczy Iredale'a zwróciły się z kolei ciekawie na lożę przeciwległą. Wincenty Castelnau wszakże umiał tak dobrze ukryć swoje uczucia, iż szlachetne jego rysy, prócz zajęcia dla pięknej sąsiadki, nic innego nie wyrażały, rozumne zaś źrenice nie spoglądały nawet w stronę Vilny.

Miss Lascelles tę samę przybrała taktykę. Wzrok jej z poza przysłoniętych rzęs jedwabnych wybiegał tylko naprzeciwko, spotykając tam również ukradkowe wejrzenie.

Dla trzech osób przedstawienie na scenie i gra aktorów nie istniały dnia tego.

Kurtyna zapadła wreszcie, a doktor Iredale zarzucił płaszczyk na ramiona Vilny; zaczem jednak pani Davenant zdążyła się ubrać, loża przeciwległa opuszczoną została.

Kierowani, unoszeni prawie przez tłum, zeszli zwolna ze schodów i do podsionka; u podjazdu dopiero, doktor pozostawił panie same, aby prędzej powóz przywołać. Mrs. Davenant, spotkawszy znajomych, witała się właśnie z nimi, Vilna zaś, ogłuszona panującym tu wirem, turkotem i nawoływaniami, usunęła się trochę, gdy tuż obok niej rozległ się głos policjanta: (C. d. n.)

Odpowiedzialny redaktor: **Ludwik Masłowski.** Papier z fabryki Czerlańskiej. Z drukarni nar. W. Manieckiego. — Zarządzca: Walenty Hodak